

KATARZYNA KOBYLARCZYK
WIELKI WYBUCH 1914–1918

Kraków 2014



Małopolski Instytut Kultury
ul. Karmelicka 27, Kraków
tel.: +48 12 422 18 84
www.mik.krakow.pl



instytucja kultury
Województwa
Małopolskiego

Redakcja merytoryczna: Joanna Nowostawska-Gyalókey
Konsultacja merytoryczna: Waldemar Brzoskwina,
dr Krzysztof Wielgus
Redakcja: Ewa Ślusarczyk
Korekta: Agnieszka Stęplewska, Agnieszka Szewczyk
Projekt graficzny serii: Agnieszka Buława-Orłowska
Projekt graficzny i skład: Joanna Sowula
Dobór ilustracji: Joanna Nowostawska-Gyalókey
Przygotowanie do druku: Andrzej Karlik
Fot. na okładce: Damy przy armacie M61, lato 1914,
z arch. K. Wielgusa

ISBN 978-83-61406-57-0

© by Małopolski Instytut Kultury, Kraków 2014

Publikacja powstała w ramach XVI Małopolskich Dni
Dziedzictwa Kulturowego.
www.dnidziedzictwa.pl

Nakład: 7000 egz.

Druk: Know-How

Współpraca:



Stowarzyszenie
Aktywnej Ochrony
Cmentarzy z I Wojny Światowej
w Galicji Crux Galiciae



ARCHIWUM
NARODOWE
W KRAKOWIE



Muzeum Historyczne Miasta
Krakowa



MUZEUM
OKRĘGOWE
W TARNOWIE



MNK
MUZEUM
NARODOWE
W KRAKOWIE

Szanowni Państwo!

Po raz XVI zapraszam na spotkanie z historią i kulturą w ramach Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego – unikalnego w skali kraju wydarzenia obejmującego cały region. To nasze wspólne święto i sposób na odkrywanie i eksplorowanie bogactwa Małopolski. Opowiedzą o niej przewodnicy – pasjonaci, eksperci, badacze. W 100. rocznicę wybuchu I wojny światowej motywem przewodnim Dni Dziedzictwa będą lokalne i osobiste wątki wojennych dziejów w regionie.

Podczas dwóch majowych weekendów zostaną zaprezentowane zabytki związane z I wojną światową – jednakże bardzo różnorodne: poczynając od fortów, poprzez zabytki techniki, aż po dwory i pałace, których losy są ściśle związane z tamtymi wydarzeniami. Będą to również miejsca pamięci – cmentarze, na których spoczywają żołnierze różnych armii.

W każdym z dziesięciu miejsc będą Państwo mieli okazję poznać nie tylko historię zabytków z lat 1914–1918, losy ich właścicieli, ale także postaci, które wpłynęły na kształt życia gospodarczego, obywatelskiego i artystycznego tego okresu.

Zapraszam do wędrowki po Małopolsce śladami Wielkiej Wojny!

Marek Sowa

Marszałek Województwa Małopolskiego

Szanowni Państwo!

Ta wojna, jak każda, była tragedią – to oczywiste. Jednak, o czym często zapominamy – była także początkiem dzisiejszego świata. Paradoksalnie czas I wojny to moment narodzin nowoczesności – a wszystko to rodzi się tuż obok, w Małopolsce: pierwsze lotnisko, z którego startują pierwsze samoloty zwiadowcze, pierwsza stacja radiofoniczna, inwestycje w modernizację zniszczonych miast.

Ale jest coś jeszcze, na co chciałabym zwrócić szczególną uwagę, coś charakterystycznego dla tamtej wojny, co bezpowrotnie utraciliśmy. Akceptacja godności pojedynczego człowieka. Obok siebie walczyli żołnierze różnych narodowości, brzmiały różne języki. Na jednym cmentarzu z równą starannością grzebani są wyznawcy różnych wiar, walczący po obu stronach.

Wróćmy na chwilę do tego świata.

Joanna Orlik

Dyrektor Małopolskiego Instytutu Kultury

PODZIĘKOWANIA

To wydawnictwo nie powstałoby, gdyby nie wiedza, dobra wola, cierpliwość i bezinteresowna pomoc wielu osób. Niech mi będzie wolno wyrazić ogromną wdzięczność przynajmniej części z nich.

Dziękuję panu Waldemarowi Brzorskowi z Muzeum Inżynierii Miejskiej, który wielokrotnie dzielił się ze mną swoją wiedzą, z cierpliwością czytał moje teksty i ustrzegł mnie przed wieloma poważnymi błędami. Bez jego sugestii, wyjaśnień i szerokiego spojrzenia ta książka byłaby znacznie uboższa.

Dziękuję także panu dr. Krzysztofowi Wielgusowi z Politechniki Krakowskiej – za nieocenioną konsultację merytoryczną całej książki.

Panu Januszowi Leśniewiczowi, prezesowi fundacji Janus, jestem wdzięczna za pomoc w przygotowaniu tekstu o forcie Tonie, wnikliwie informacje oraz cierpliwość w prostowaniu nieścisłości.

Na zawsze zapamiętam niezwykle ciepłe przyjęcie, olbrzymie serce i gościnność Państwa Lorenzów. Poświęcenie, pietyzm i miłość, jakimi otaczają dwór w Michałowicach, a także otwartość i serdeczność, dzięki której uczynili z niego miejsce spotkań miłośników historii Kadrówki; zasługują na podziw i najwyższy szacunek.

Dziękuję pani Katarzynie Lianie z Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach za udostępnienie zbiorów, a zwłaszcza pamiątek z czasów bitwy gorlickiej, oraz opiekę merytoryczną w temacie.

Dziękuję panu Mirosławowi Łopacie, prezesowi Stowarzyszenia Aktywnej Ochrony Cmentarzy z I Wojny Światowej w Galicji Crux Galiciae, oraz pani Agnieszce Partridge, sekretarzowi tego stowarzyszenia, za podzielenie się ogromem swojej wiedzy i cierpliwą korektę.

Podziw i wielką wdzięczność kieruję do pana dr. Tadeusza Rzepeckiego, prezesa Tarnowskich Wodociągów i autora monumentalnego opracowania dotyczącego ich historii. Mój tekst o tym przedsięwzięciu nie mógłby powstać, gdyby nie lata jego pracy badawczej. Dziękuję także panu dr. Grzegorzowi Wojtalowi z Tarnowskich Wodociągów oraz panu Wacławowi Szczepanikowi, historykowi z Muzeum Okręgowego w Tarnowie – za konsultację merytoryczną. Panu Andrzejowi S. Grabowskiemu zawdzięczam natomiast opowieść o losach dziadka – Stanisława Grabowskiego.

Za pomoc w przygotowaniu tekstu o Klubie Garnizonowym dziękuję jego pracownikom. O dawnym życiu Klubu opowiedzieli mi pan Tadeusz Kamionka i pani Barbara Dziewońska – dziękuję im za przemile spotkanie.

Chciałabym także wyrazić wdzięczność pracownikom archiwum na Wawelu za odnalezienie i cierpliwe wyciąganie z szaf ton archiwalnych fotografii rodziny Goetzów. Dziękuję panu Mateuszowi Grzędzie za udostępnienie niepublikowanej pracy na temat pałacu w Brzesku-Okocimiu.

Dziękuję pani Agacie Zachariasz z Politechniki Krakowskiej za wspomnienia o rodzinie Długoszków z Siar oraz wiadomości o przy-pałacowym parku.

Panu dr. Markowi Stusowi jestem wdzięczna za pomoc w przygotowaniu tekstu o pałacu Larischa i podzielenie się wiedzą o jego losach.

Katarzyna Kobylarczyk

SPIS TREŚCI

Atlantyda albo przewodnik po prawdziwej wojnie	6
PANORAMA GORLIC PRZED, W TRAKCIE I PO BURZY Muzeum Regionalne PTTK w Gorlicach	10
SKOK NADLUDZKI I ZIMNA POKRYWKA Pałac Długoszków w Siarach	22
PRZEISTOCZENIE Przełęcz Małastowska. Cmentarz wojskowy nr 60	36
PORTRET PRZEDŚMIERTNY Lubinka. Cmentarz wojskowy nr 192	48
DZIECI NOWEJ ERY (I ICH ZABAWKI) Zespół Tarnowskich Wodociągów	60
ALBUM WOJENNO-RODZINNY, CZYLI PIĘĆ RAZY JAN ALBIN I INNE ZDJĘCIA Pałac Goetzów-Okocimskich w Brzesku	74
SZEROKI WIDNOKRĄG Pałac Larischa w Krakowie	86
MOMENTY Dwór Dąbrowskich w Michałowicach	100
WIDOK Z WNĘKI Klub Garnizonowy w Krakowie	114
WOJENNA KORONKA Fort nr 44 Tonie w Krakowie	126
Wybrana bibliografia	140

ATLANTYDA ALBO PRZEWODNIK PO PRAWDZIWEJ WOJNIE

– Wujku, ty byłeś na wojnie?

Sierpień, lata 60., upał, miarowo pyka traktor-samoróbka; Lanckorona, pachnie chlebem z murowanej piekarni przy ulicy Świętokrzyskiej.

– Najpierw to my se stanęli do asenterunku. W 56. Regimencie. W Wadowicach.

– A tam byli już Niemcy?

– Za Niemca nie było wojny. Za Niemca to była jeno okupacja – chwila milczenia – prawdziwa wojna była tylko jedna. Za Cesarza...

Od tych chwil, od tej rozmowy, do dziś minęło dokładnie tyle samo dni, co od 1914 roku – do niej.

...Tej defilady nie było. Może nie powinno być. Poborowy cesarskiego i królewskiego regimentu piechoty hrabiego Dauna Numero 56 z Wadowic maszeruje wraz z całym swym pułkiem. Powiedzmy, aleją 3 Maja. Powiedzmy – w naszej wyobraźni. Powiedzmy, właśnie teraz, gdy unosisz okładkę tej książki. W rytm starodawnego, powolnego, pełnego osiemnastowiecznych piszczałek i werbli – marsza. Za nim Pułk 13. Guidobalda von Starhemberga Młodszego. „Krakowskie Dzieci”. Inaczej – „Staszki”. Z koszar arcyksięcia Rudolfa na Warszawskiej. Wyłogi na mundurach w kolorze poziomkowego kremu i radosny, odrobinę cyrkowy marsz pułkowy. Napisał go Władysław Kołakowski, zastępując pełne archaicznego wdzięku muzyczne arcydziełko Johanna Hocka. Gdy w 2012 roku w Staniątkach drużbowie przyjadą po pannę do ślubu, muzykanci, kalecząc, będą grać tę samą melodię. Cienie bywają bardzo trwałe... Potem idzie Pułk 20. Księcia Henryka. Górale. „Cwancygiery z Matką Boską”; pomarańczowo-czerwone wyłogi, srebrne guziki. Na czele pułkownik Stanisław Puchalski (Henryk Pruski nie dowodził pułkiem, był jego honorowym... właścicielem). Długi, jakby zawieszony krok; stawiają stopę za stopą, miękko, lekko, jak modelki na wybiegu; pułkowa muzyka przygrywa im ślicznego, jakby rodem z Włoch, „Marsza Phillipowicha” – Johanna Nepomuka Krala. A za nimi idzie 16. Krakowski Pułk Obrony Krajowej. Landwehra. Do paradnych mundurów nosili kapelusze z pękami kogucich piór. Krowoderskie zuchy, parodiując pułkową muzykę, wyśpiewują: „Landwehra, Landwehra to jest wojsko głupie, bo ma to na głowie, co kogut na...”.

Uśmiech.

Smutek.

To umarła armia. Poległa, ale nie opłakana. Mamy swoje Legiony. To było nasze wojsko. Szara kropelka w szarym oceanie najbardziej masowej wojny, jaka zawitała do wrót Krakowa i Małopolski. Te Staszki, Józki, Wojtki, których groby rozrzucone są od Wołynia po Piawę, a którzy w Legionach nie byli, jakby wstydzieli się do dziś. Że ich jedyna, prawdziwa wojna, to była ta – „za Cesarza”.

To smutek czterystu galicyjskich cmentarzy wojennych. Zaduma wielkich, betonowych fortów. Kaskady światła wlewające się w ciszy przez świetliki wyremontowanego, pustego hangaru na rakowickim lotnisku. To cztery jarzące się rubinowo latarnie wieńczące dach kasyna garnizonu w Krakowie.

To zapach rozmięklej ziemi, igliwia i halnego wiatru w rozmytych okopach na Podhalu.

To stare platany i kasztanowce w okocimskim parku, w których konary uwikłany jest jeszcze skandujący łoskot wymalowanych w czerwono-biało-czerwone pasy aeroplanów, toczących się, jak efemeryczne, powietrzne bryczki, z lotniska w Jasieniu ku Przemyślowi.

To zapisany w pamięci ludzi i pamięci krajobrazu – infernalny jęk dartego powietrza, przeszytego do samej stratosfery pociskiem monstrualnego działa, przywiezionego pod Tarnów aż z półwyspu Gomila, z adriatyckiej twierdzy Pola.

To zawieszone gdzieś w eterze staccato sygnałów radiotelegraficznych, rozsyłanych z aparatu projektu profesora doktora Ericha Kanna; aparatu zamontowanego na pokładzie aeroplanu o imieniu „Muzzl”, który kierował ogniem tej bestii.

To ta książka – o wojnie, która stała się nie tylko grobem XIX wieku, matrycą współczesności i nowoczesności; która była też ich – laboratorium.

Nic w tej wojnie nie chce być takie jak w podręcznikach lub w filmie. Niemieccy żołnierze w pikielhaubach, witani jak zbawcy przez gminę żydowską w Gorlicach. Niemcy podziwiani za karność i grzeczność, i za to, że w odróżnieniu od uprzykrzonych austriackich landszturmistów nie kradli kur i całowali stare gaździny spod Myślenic w rękę, mówiąc do nich z szacunkiem Mutter. Wyśmiana po haszkowsku monarchia, która była w stanie wyprodukować pierwsze na świecie dalekosieczne moździerz, zaprzężone w olbrzymie ciągniki projektu Ferdynanda Porsche. Na takim potworze pojechał kanonier Stanisław Pigoń, nie tyle z Komborni w świat, ile z Krakowa do Belgii, kruszyć tamtejsze fortece, z którymi nie mogli sobie dać rady Niemcy. I o tym także jest ta książka.

Stary, ciężki, zsuwający się z kolan album z wyblakłymi fotografiami ludzi w dziwnych mundurach i przy dziwnych machinach, dany kiedyś w ciemnym krakowskim mieszkaniu dziecku „na pooglądanie”, by nie przeszkadzało, gdy starsi mieli swoje dorosłe sprawy do omówienia. Zachwyty odkrywania zaginionych światów, zatopionej środkowoeuropejskiej Atlantydy, która przed swoim zgonem zdążyła jeszcze począć takie owoce, jak monumentalne bulwary wiślane czy stojące dziś niemal naprzeciw siebie gmachy Uniwersytetu Rolniczego i Akademii Górniczo-Hutniczej. Kraków secesyjny i wczesnomodernistyczny, oniryczne ulice: Sobieskiego, Kremerowska, Retoryka. Wrosła w nasz krajobraz kolej z perłą tarnowskiego dworca i miasto-fantom, wciąż jeszcze większe od krakowskiej metropolii, Twierdzę Kraków, której pancerne fortefy projektował późniejszy twórca wojsk technicznych niepodległej Rzeczypospolitej, płk. inż. Emil Gołogórski.

Ta książka jest – dla Odkrywców.

Krzysztof Wielgus

Pierwsza wojna światowa była wielkim poligonem doświadczalnym; próbą generalną, a jednocześnie pierwszym aktem spektaklu XX wieku. Wówczas to wypróbowano i wprowadzono w życie wiele zdobyczy cywilizacyjnych naszej epoki, jak obozy koncentracyjne, czołgi, telefony polowe, gazy trujące, żelbeton, Gott mit uns na paskach, trupie główki na czapkach, komunikaty o „wycofywaniu się na z góry upatrzone pozycje”...

Antoni Kroh, O Szwejku i o nas



Opisany widok Gorlic po kampanii wojennej w r. 1914–1915.
Gorlice. Totalebildet nach der russischen Invasion im J. 1914–1915.



Panorama Gorlic, 1916,
z arch. Muzeum Regionalnego PTTK
w Gorlicach

PANORAMA GORLIC PRZED, W TRAKCIE I PO BURZY

MUZEUM REGIONALNE PTTK W GORLICACH

Pocztówka jest podwójna, składana. To panorama. Widok, który przedstawia, trudno jednak nazwać miastem. Książd Świeykowski (wojenny burmistrz Gorlic), dobry w antycznych porównaniach, nazwałby to cmentarzyskiem pompejańskim.

Jeszcze do niedawna stało tu 613 domów, szpital powiatowy na 100 łóżek i piękne gimnazjum, a część z siedmiu tysięcy mieszkańców wypracowywała w fabrykach kwasu siarkowego, mąki kostnej, rur betonowych, mydła i świec oraz największych w Monarchii Austro-Węgierskiej kopalni i rafinerii nafty roczny dochód w wysokości prawie 112 tysięcy koron.

Po 126 dniach ostrzału pociskami artyleryjskimi różnego kalibru zostało z tego tyle, ile można zobaczyć na pocztówce. Zgliszcza. Strzaskany granatami i bombą lotniczą kościół zapadł się. Dworzec jest rozbity. Szpital leży w gruzach. Rafineria i fabryki – spłonęły. Do zamieszkania nadaje się ledwie 45 domów. „Takiego strasznego zniszczenia nie widzi

się nawet po trzęsieniu ziemi” – powie Władysław Długosz, właściciel sąsiednich Siar.

Niestety widok z pocztówki ma poważną wadę. Nie ma na nim żywego ducha. Duchów będziemy musieli poszukać gdzie indziej.

GŁOSY

Kamieniczka przy ulicy Wąskiej w Gorlicach pochodzi z końca XVIII wieku. Odrestaurowano ją w latach 50. XX wieku. Na fasadzie niedawno domalowano wąsatych żołnierzy. Napis w pięciu językach głosi: „MUZEUM. Wystawa eksponatów poświęconych bitwie gorlickiej”.

Jeśli mamy gdzieś znaleźć duchy czasu burzy, to właśnie tu. W szklanych gablotach jęczą łuski pocisków, te zardzewiałe, wyciągnięte z ziemi i te przerobione na pamiątki wojenne z okolicznościowym grawerunkiem. Szczątki granatów świszczą i wyją tym niesamowitym śpiewem, który raził najpierw nerwy żołnierza, zanim sięgnął jego samego.

– Mobilizacya! – terkoczą wojskowe werble. Wiatr (zapewne historii) szarpie płachtą obwieszczenia. – Wojna! Ogłoszenie mobilizacyi!



Zza szyby gabloty błyszczą szklane oczy wypchanego małpiszona Koka, pupila księdza Świeykowskiego. Szczęrzy się żółty małpi ząb.

Przez muzealne sale niesie się delikatny szum, drażniące brzęczenie, w którym – jeśli dobrze się wsłuchać – można usłyszeć ten „jednolity huk, wrzask w powietrzu”, kiedy na Gorlice spada huragan granatów, od których domy płoną i wałęsają się w gruzy. Nad wielką makietą bitwy rozbrzmiewają gwizdki i trąbki – jedna, druga, trzecia – zaraz zacznie się szturm, małe figurki rzucą się do ataku po sztucznej trawie. W jednej z nich może być zaklęta dusza pułkownika Latiniaka, który koordynuje w sztabie, podczas gdy jego 100. Pułk Ziemi Cieszyńskiej wdziera się na górę Pustki, ziejącą ogniem niczym czynny wulkan...

A później wszystko cichnie. I tylko z szafy, gdzie trzymane są ręko- i maszynopisy, słychać szepty, ciche jak szelest papieru.

CZĘŚĆ PIERWSZA. PANORAMA PRZED BURZĄ

Listopad. Kurnik

„Po roku 1913, pamiętnym z powodu ciągłych deszczów, który dla ludności w Galicji był po prostu klęską, bo plony w polu pogniły – nastał rok 1914, pogodny i słoneczny. A mimo to coś ciężkiego przygniata nam umysł i serce, i niby chmura gradowa zbliża się i grzmi...”

W tym roku, pogodnym, lecz złowróżbnym, Maria kończy 54 lata. Od trzech jest wdową po aptekarzu Kromkayu. Mieszka w Bieczu, pisze wiersze i nowele, które nigdy nie ukażą się drukiem oraz „Dziennik wydarzeń wojennych w Bieczu”.

Można się z niego dowiedzieć, że 11 listopada Maria ma gości. Kwateruje u niej wojsko. Nasze, austro-węgierskie.



Strudzone. Przemili oficerowie opowiadają o bitwach: pod Komarowem, Samborem, Kraśnikiem. Dopiero wieczorem, kiedy Maria idzie do kurnika, widzi, że gdy podejmowała oficerów, żołnierze odbili kłódkę. Śliczne, wypierzone kokoszki hodowane z takim staraniem zabrali, zabili... Łzy jak grochy spływają z oczu Marii.

A już 14 listopada na gościńcach mrowi się szara, nużąca oko rosyjska piechota. „Zalewają nas jak lawa...”

Grudzień. Wojna jest jak fala

W grudniu dom Marii (wraz z całym Bieczem) przechodzi z rąk do rąk. W poniedziałek jest jeszcze rosyjski, a już we wtorek – „nasz”, austro-węgierski. Okno werandy nie wytrzymuje tych zmian (oraz huku kanonady) i spada Marii na głowę. Gdyby nie kapelusz, poraniłoby ją ciężko. Ale nie to! Ważniejsze, że pod pokiereszowane okienko przyjeżdżają ułani i dopiero teraz Maria naprawdę traci głowę. „Doprawdy, że pójde zaprosić ich na herbatę” – postanawia i zaraz chwali się: „Mam ułanów w domu! Eleganccy chłopcy! A tyle w nich życia i dziecinności...”

Po ułanach przychodzą żołnierze z Grazu. Rozbijają Marii drewnutnię. Maria skarży się oficerowi, ale nie znajduje zrozumienia. „Może za 24 godziny będę w ogniu, a pani mnie drobiazgami zajmuje! – słyszy. – Zdumiałam się – pisze Maria. – Bo cóż to ma do rzeczy”.

Tymczasem inny oficer, w podzięce za gościnę (wódkę, ciastka i jabłka), zdradza Marii sekret. „Idzie dużo Moskali – mówi. – Cofamy się”.

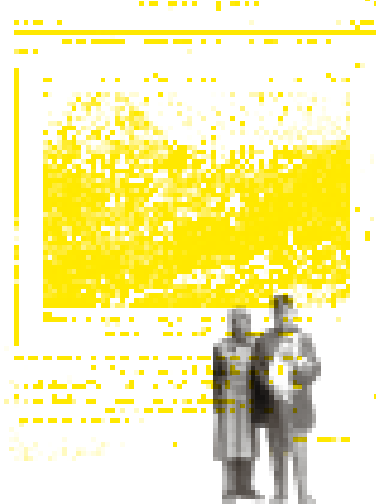
Wizyta oficerów, armii austro-węgierskiej w ruinach kościoła w Gorlicach, zima 1915/1916, z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach

Grupa gimnazjalistów na wycieczce w zrujnowanych Gorlicach, 1915/1916, z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach

Okladka dodatku ilustrowanego do czasopisma „Miasta Polskie” 1935, z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach

MIASTA POLSKIE

1935, z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach



Maria jest załamana. „Więc tylko 10 dni byliśmy odbici... – Niech się pani nie smuci – pociesza miły oficer. – Wojna jest jak fala, naprzód idzie i w tył się cofa”.

Przepowiednia spełnia się. Na świętego Szczepana Moskałe (są wśród nich Polacy w rosyjskich mundurach) idą przez Biecz wielką hurmą. „Od razu jesteście zalani szarą falą. Bagnety miarowo walą w drzwi”. Chleba dajcie! Sadła dajcie! Wieczorem Maria zapala lampę, a służąca Cesia zasłania okna, bo Moskałe lecą do światła jak ćmy. „Szare mundury na drogach, szare ubrania w domu, refleks szary pada od nich na wszystko. Szare deszczowe chmury na niebie. Szare gościńce od błota. Myśl snuje szarą przędzę przygnębienia. Dusza szarzeje od zmartwienia. Tylko szara barwa nad nami i koło nas. Moskałe!”.

Grudzień. Stanisława żywot piwniczny

10 grudnia 1914 roku w Gorlicach Stanisław Feliks Grąglowski, urzędnik sądowy, słyszy z oddali strzały karabinowe. „Strzały te utkwily mi w głowie – notuje potem w swym «Pamiętniku z inwazji rosyjskiej w Gorlicach». – Przeczuwałem, że się na coś zanosi”. Na co – dowie się 27 grudnia. Tego dnia widzi bieg pocisku w powietrzu. Leci półkołem. Przed nim kraczą spłoszone wrony. Spada w wąwóz, dziesięć metrów od Stanisława Feliksa.

Stanisław Feliks już wie, że jego dom na Magdalenie nie jest bezpiecznym schronieniem. Leży pomiędzy pozycjami austriackimi a rosyjskimi i pociski szyją go na wylot. To uzmysławia Stanisławowi Feliksowi, że nie dotrze także do Gorlic, gdzie przed chwilą wysłał dzieci. Natomiast nie wie jeszcze, że najbliższe półtora miesiąca spędzi w piwnicy.

Piwnica należy do sąsiada Rąpały. Ma sześć metrów kwadratowych i niski strop, a muszą się w niej zmieścić ziemniaki, buraki, rupiecie oraz szesnastu mieszkańców Magdaleny. „Jak kto mógł umieścić się w tej piwnicy – jeden na burakach, drugi na paczce lub na desce i rozpoczynaliśmy nabożeństwo: najprzód godzinki, różaniec, koronki, nowenny, różne modlitwy i pieśni, zebrząc zmiłowania Bożego, a nad nami armaty grają, szyby pękają, szkło się tłucze, kominy lecą, rumowisko się sypie do piwnicy”.

Lada chwila oczekują końca. 30 grudnia o ósmej rano sam Rąpała (mimo ostrzeżeń) wymyka się na pole („widocznie za naturalną potrzebą”). Wraca – ale z kulą w nodze. „Wpadł do domu przelękniony, zbladł jak chusta, krew z nogi sączyła się”. Teraz, opatrzony, leży na burakach. „Wygodne było to leżenie jak na torturach, buraki bowiem gniotły w plecy



Obwieszczenie mobilizacji z 31 lipca 1914 r., z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach

Dowództwo plutonu albo ciągu konnego obsługującego 17. Kompanię Polową oraz baterię nr 7 dział 15 cm, Poczta polowa 83, 1915, z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach

i boki”. Na domiar złego inna lokatorka piwnicy, pani Kłakowa, żona egzekutora podatkowego, zabiera się do połogu...

Styczeń. Kule jak muchy

Nowy Rok wypada w piątek. Maria w Bieczu wita go przy wórze armat. Cieszy się. „Miłe takie dzień dobry, bo znaczy, że nasi pamiętają, stanowisk nie opuścili”.

Nieco inny pogląd na sprawę ma w tej samej chwili Stanisław Feliks. Leży właśnie z żoną w kącie, na gołej ziemi, dzierżąc nad głowę wypchany słomą siennik, a kule jak muchy latają nad nimi przez ściany i okna. Wszystkiemu winne to, że noc była spokojna i zdecydowali się spędzić ją we własnym domu. Zaspali. Kanonada zaskoczyła ich, zanim zdążyli się schronić w bezpiecznej piwnicy Rąpały. Teraz, płacząc, modlą się. Stanisław Feliks wzbudza w sobie żal za grzechy, żegna się z żoną i czeka na rychłą kulę. Ta jednak nie nadchodzi.

Nocą, na czworakach, wzywając Najśłodszego Serca Jezusowego, z pięcioma jajami na twardo w garnuszku pełną do zbawczej piwnicy. Spędzą w niej trzy dni i trzy noce.

3 stycznia, w niedzielę, dzień jest ciepły, bez mrozu i strzelaniny. Lokatorzy piwnicy pojedynczo wychodzą na powierzchnię. Kobiety robią kawę na piecu, chcą śniadać w kuchni. Stanisław Feliks ma złe przecucie. Nawołuje

do piwnicy. „Zeszło rzeczywiście wszystko prócz Anastazji Rapałowej, która biorąc się na śmiałość, chciała także i obiad w kuchni przyrządzić i zaczęła kapustę kręzać”.

Nie jest im dane zjeść w spokoju.

Rapałowa wpada do piwnicy z tasakiem w rękę. „I ja ranna, i ja mam kulę” – mówi, wskazuje piersi i słańia się na ziemię. Kładą ją na pierzyne, ale o ratunku mowy nie ma. „Widzieliśmy, jak życie z niej uchodzi – zbladła, usta zsiniały, mowę zamknęła i oczy w ślup zwróciła – po kilku też minutach Bogu ducha oddała. Tak ubył nam znów jeden lokator, a względnie musieliśmy obozować w piwnicy z trupem”.

Luty. Skrzydła całe i białe

3 lutego w Bieczu Maria ma ochotę tańcować, a że nie wypada, więc tylko pisze: „Jestem sobą. Umysł nie ucierpiał. Moje skrzydła całe i białe. Swoboda – nie ma Moskali! Cesia wesoła, śpiewa cały dzień. Uduś poszczekuje po dawnemu. Kwiaty pomyte. A moje kokoszki jak się cieszyły spacerem!”.

Cieszy się także Stanisław Feliks. Jest już w Gorlicach.

10 stycznia opatrność zesłała dzień śnieżny i tak mglisty, że lokatorzy piwnicy odważyli się uciec. W ostatniej chwili. Austriacy, którym domostwo Rapały zasłania pozycje carskie, mieli zamiar je spalić.

Stanisław Feliks cieszy się więc. W Gorlicach jest wprawdzie drogo, a rosyjski komendant każe wynosić się cywilom, lecz „Pan Bóg miłosierny czuwał nad nami, bo komendantowi temu na pozycji kula armatnia nogi urwała”.

I on, i Maria mają nadzieję, że może to, co najgorsze, jest już za nimi. Nie wiedzą jeszcze, że w dalekim Brnie niejaki František Mikulašek, niegdyś zamiatacz ulic i księgarz, zaczyna właśnie trzytygodniowy kurs saperski. To, czego się nauczy, wykorzysta w czasie wielkiej burzy, która zbliża się już do Gorlic.

CZĘŚĆ DRUGA. BURZA

Wiosna. Prognozy

Wszyscy czują, że nadchodzi. Marii w Bieczu już od pewnego czasu nie cieszy huk armat. Grają jej „pieśń śmierci i zniszczenia”. Nie jest w stanie jeść, spać ani ubierać się kolorowo. Chodzi na czarno. Ma przeczucie, że okolica będzie widownią wypadków wielkiej doniosłości.

Stanisław Feliks w Gorlicach też to czuje. Coś jest w powietrzu. I nie chodzi wcale o balon obserwacyjny, który wisi nad Ropą. Rosjanie kręcą się jak w ukropie, miny mają nietęgę. Plotka głosi, że idzie „wielka wojna”.

Może mógłby potwierdzić ją František. Może mógłby, ale – nie może. Jest odcięty od świata. Pod koniec lutego zabrał karabin, pas, bagnet, 40 ostrych nabojów, płaszcz, sweter, rękawice, dwie pary onucy, szalik, mufkę, kożuszek, dwa bandażę, połówkę namiotu, dwa kołki, kocyk, chleb, cztery konserwy gulaszowe, jedną kawową, kilo kielbasy, cztery ząbki czosnku przeciw cholerze, pudełko czekolady, trochę pieprzu i masło przeciw wszom – i wyruszył na front.

Przez całą zimę i wiosnę budował okopy w lodowatej wodzie po kolana. Niezbadane wyroki losu (i generałów) zapędziły Františka do Bystrej pod Gorlicami.

Maj. 700 paszcz

Poranek 1 maja jest pogodny i słoneczny. Na polach wokół Biecza ludzie uwijają się przy sadzeniu ziemniaków. Pułkownik Latinik, dowódca 100. Pułku Ziemi Cieszyńskiej, złożonego niemal w 100 procentach z Polaków, notuje ku pamięci: „Wszędzie spokój jakoby przed burzą, tylko płatowce szybowały, mrucząc w przestworzu – a oprócz tego setki nożycowych lunet obserwowało okopy nieprzyjacielskie i tuderzenia wstrzeliwującej się artylerii. Cała armja 11-ta ożywiona była pewną nadzieją ostatecznego zwycięstwa...”.

Jednak kilkanaście kilometrów dalej, w Bieczu, wraz z upływem dnia złe przeczucia mącą myślą Marii. „Odczuwamy, że zbliża się początek końca. Noc nadchodzi. Głuchy odgłos wystrzałów nabiera rozmachu...”



Zołnierze rosyjscy stacjonujący w Gorlicach, 1914/1915, z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach

Konwój jeńców rosyjskich, 1915, z arch. Narodowej Biblioteki Széchényiego w Budapeszcie (Országos Széchényi Könyvtár)



Grupa artylerzystów armii austro-węgierskiej przy moździerzu 30,5 cm, 1915, z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach

To, co Maria słyszy z oddali, František widzi na własne oczy. Z bombardowanych rosyjskich okopów wydobywają się ogromne szarobrazowe słupy dymu, kurzu i zieleni. „Działka polowe szczekały, dalekosiężne pociski ostro przecinały powietrze, wszystko huczało, bębniło, jęczało i z ogromnym łomotem padało”.

Maria nie może przez to zmrużyć oka.

Ranek 2 maja jest śliczny i pułkownik (przyszły generał) Latinik wita go w poetyckim nastroju. „Przepiękny dzień, słoneczny, spokojny, okraszony świeżą zielenią wiosny” – zapisuje w notatkach.

Punktualnie o szóstej rano na całym odcinku przełamania frontu zaczyna się ostrzał.

Latinik: „Po pierwszych próbnych strzałach zagrzmiało 700 paszcz armatnich, które, wyrzucając stal i żelazo, przeryniają powietrze z sykiem i szumem, skowytem i gwizdem, a wbiwszy się w pozycje przeciwnika, z piekielnym hukiem cisną w górę na kilka metrów wysokości ziemię, kamienie, belki, deski, karabiny i ciała ludzkie. Chmury duszącego dymu zalegają coraz to większą przestrzeń”.

O godzinie 10 artyleria milknie lub przenosi ostrzał na tylne pozycje wroga.

Latinik: „Wreszcie nadeszła upragniona chwila!”.

František: „Huczące piekło znów nabrało wyglądu ziemi, na którą dobrotliwie świeciło majowe słońce. Ale gdy tylko przebrzmiał ostatni wystrzał z moździerza, rozwrzeszczała

się trąbka, za nią druga, trzecia, dziesiąta. Przed rosyjskimi okopami wynurzyły się opętane, zdziczałe postaci piekielników i rzuciły się na Rosjan”.

W tym samym czasie, w Gorlicach, Stanisław Feliks znów siedzi w piwnicy.

Maj: Szare uniformy

2 maja Stanisław Feliks po raz kolejny jest pewien, że dziś umrze. W piwnicy panuje jednolity huk. Ziemia się trzęsie, mury sypią, wszędzie pełno kurzu i pyłu. Prąd powietrza spowodowany granatami rzuca ludźmi o ściany i wszyscy są pewni, że to już koniec: albo pocisk ich rozerwie, albo żywcem zasypie.

Stanisław Feliks wychodzi z piwnicy. Woli zginąć od kuli niż usmażyć się w dymie i ogniu.

„[...] miasto w płomieniach, dom, w którym mieszkaliśmy, również się pali, dym straszny”. Jedyne piwnice Magistratu wydają się bezpieczne – Stanisław Feliks każe wszystkim tam uciekać. Ciekawość (niezdrowa) gna go na rynek. „O dziwo widziałem wojnę, szturm na bagnety, masa wojska wywija pałaszami, kółkami, Moskale klękają, ręce do góry wznoszą, krzyk, przekleństwo, nie mogłem jednakże naszego wojska zauważyć, myślałem, że się Moskale między sobą biją, bo wszystko wojsko miało jednego koloru szarego uniformy” – zapisuje.

Dopiero po chwili orientuje się, że widzi Prusaków. Są straszliwi, spoceni, kurzem okryci, ale ludzie witają ich jako oswobodzicieli. Gorlice są zdobyte. Niestety, są także niemal starte z powierzchni ziemi.



Dowództwo oddziału porządkującego pobojuwisko po bitwie pod Gorlicami, 1915, NAC

CZĘŚĆ TRZECIA. PO BURZY

Gruzy grozy

Maria założyła ochronkę dla dzieci. Jednego z chłopców-sierot wzięła na wychowanie.

Stanisław Feliks widział, jak spłonęły oba jego domy. 19 listopada 1915 roku dostał ostatni list od wyruszającego na front włoski syna Ludwika. Wkrótce potem nadeszły naraz dwie kartki. Koledzy syna informowali, by już do niego nie pisać, gdyż zginął śmiercią bohaterów. „Nie mając dla kogo tych swoich pamiątek spisywać, na tem też swoje spostrzeżenia wojenne i odniesione wrażenia kończę”.

Pułkownik Latinik został generałem i napisał książkę *Żołnierz polski pod Gorlicami*. Wniknął w niej w tajniki wojny wszechświatowej, by złożyć pośmiertny hołd zuchom ze swojego pułku.

Natomiast nieco wcześniej pewien człowiek wspiał się z aparatem na dach jakiejś kamienicy, by sfotografować ruiny, w których nie widać żywego ducha.

Być może człowiekiem tym był Józef Barut.

Koniec i początek

Tego dnia, kiedy Józef Barut mógł wspiać się na dach, by sfotografować to, co zostało z Gorlic, ruiny już nie dymiły.



Byli dowódca 100. Pułku Piechoty Cieszyńskiej gen. Franciszek Ksawery Latinik podczas uroczystości upamiętniających przełamanie frontu pod Gorlicami, 1934, NAC

Pozary się wypaliły, zgliszcza ostygły, ściany, które miały się zawalić, leżały zdruzgotane. Jest 1918 rok – może później, na pewno nie wcześniej. Józef Barut, młody architekt po Politechnice Lwowskiej, jeszcze niedawno żołnierz armii austro-węgierskiej, przyjechał do Gorlic pracować przy ich odbudowie właśnie w 1918 roku. Od pamiętnego dnia austriackiej ofensywy, dnia, o którym ksiądz Świeykowski, dobry w poetyckich porównaniach, pisał „dzień grozy”, minęły zatem przynajmniej trzy lata.

Mimo to Gorlice wciąż leżą w gruzach.

Siedemnaście lat później, w 1935 roku, kiedy Józef Barut usiadzie, by dla periodyku „Miasta Polskie” opisać blaski i cienie odbudowy zniszczonego miasta, Gorlice nadal do końca z tych gruzów nie powstaną. Jeszcze w roku 1938 jedna czwarta domów zniszczonych podczas bitwy nie zostanie odbudowana. Dopiero w 1964 roku uroczyste otwarcie licealnej sali gimnastycznej symbolicznie zakończy odbudowę miasta.

Inżynier Barut będzie miał w tym procesie wielkie zasługi – zostanie w Gorlicach miejskim architektem. Tego dnia, kiedy – być może – wspina się na dach, by sfotografować panoramę ruin, nie wie jeszcze, że w przyszłości będzie z pasją (i aparatem fotograficznym) odwiedzał różnego rodzaju ziemne wykopy, szukając kawałków kafli, ceramiki i innych starych śmieci z przeszłości miasta, które pokocha. Że napisze o nim kilka opracowań. Że będzie walczył, by odbudowano je z wizją, planem i sztuką. Że przyczyni się do powstania muzeum, które pomieści wszystkie duchy czasu burzy.

Tego dnia, kiedy fotografuje panoramę zrujnowanego miasta, Józef Barut nie wie (być może) jeszcze jednej rzeczy.

Że wielkie wybuchy mają to do siebie, iż są jednocześnie czegoś końcem i czegoś początkiem.



Pocztówka okolicznościowa, zrujnowany rynek w Gorlicach, według tempery starszego kaprała Rudolfa Czernego, 1916, z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach



Rosyjscy jeńcy porządkują
posiadłość w Siarach, 1916.
„Tygodnik Ilustrowany”

SKOK NADLUDZKI I ZIMNA POKRYWKA PAŁAC DŁUGOSZÓW W SIARACH

Z tej perspektywy, poprzez łuk pergoli, pałac nie wygląda na zniszczony. Ściany są całe, sztukateria wciąż się trzyma, nawet wielkie okna nie wydają się wybite. Ale jeszcze niedawno dach był strzaskany, a jedno skrzydło poważnie uszkodzone. Najwyraźniej rosyjscy jeńcy już uporali się z tymi zniszczeniami. Teraz porządkują ogród i park, taczkami nawożą ziemię na grządki, upinają opadły bluszcz.



Wizyta austriackich parlamentarzystów w Gorlicach. Drugi od lewej – ks. Bronisław Świeykowski, czwarty, w meloniku – Władysław Długosz, 1916, fot. K. Kumorowicz

W styczniu 1916 roku dziennikarz „Nowości Ilustrowanych” podpisał te zdjęcia: „Niedawni wrogowie przy odbudowie Galicji: jeńcy rosyjscy doprowadzają do porządku uszkodzony w walkach pałac b. ministra Długosza pod Gorlicami”.

Ale Władysław Długosz, choć sam doświadczony przez los, chętniej mówi o innych, znacznie poważniejszych zniszczeniach wojennych. O rozebranych belka po belce drewnianym kościele z Sękowej. O rozstrzelanych austriackimi armatami Gorlicach. O 180 tysiącach zniszczonych domów, dworów i pałaców, o stratom zboża, zarżniętym bydłem, nieobsianych polach w całej Galicji. O głodzie i śmierci. O niesprawiedliwości.

I robi to. Opowie. Lecz nie teraz. Miną jeszcze prawie dwa lata, zanim Długosz, właściciel Siar, potentat naftowy, byłby ministrem dla Galicji, poseł i członek PSL „Piast”, odważnie stanie przed komisją wojskową wiedeńskiej Rady Państwa, by – punkt po punkcie – wyliczyć krzywdy, jakie ze strony c.k. armii spotkały mieszkańców Galicji, a które – jak się zdaje – ominęły szczęśliwie jego Siary. My za to opowiemy o nim.

NIKT

Jesienią 1890 roku Władysław Długosz jest jeszcze nikim. Tak przynajmniej uważa Władysław Dembowski, ówczesny

właściciel Siar. Długosz mieszka w Siarach od trzech lat. Nie jest wcale parweniusem. Urodził się w Krakowie; jego ojciec jest sędzią, matka pochodzi ze Szwajcarii. Jako dwudziesto-sześcioletek ma już za sobą techniczne studia w Pradze. Przez jakiś czas był nauczycielem gimnastyki w Gorlicach, ale tak naprawdę przyszłość wiąże z inną dziedziną. Z ropą.

W tym czasie skalny olej wydobywa się na świecie dopiero od 40 lat. Czarne złoto nadal ma niemal magiczne właściwości: potrafi wznosić na szczyty i pograżać w otchłani ludzi, którzy mu zawierzą.

Władysław Długosz zgłasza się do okolicznych przedsiębiorstw naftowych. Pracuje między innymi w Pustym Lesie – pierwszej na świecie kopalni ropy, założonej w Siarach przez księcia Stanisława Jabłonowskiego w 1852 roku. Zaczyna od zera. Asystuje kowalowi, jest pomocnikiem szybowym, prostym wiertnikiem. Szybko się uczy. Awansuje. W 1889 roku, po rocznej praktyce w kopalni barona Brunickiego w Kłęczanach koło Nowego Sącza, otrzymuje dyplom kierownika kopalni. To mu jednak nie wystarcza. Zatrudnia się jeszcze w Krygu i Kobylance, gdzie nafciarze z Kanady wiercą innym, nieznanym mu systemem.

Władysław Dembowski z Siar nie patrzy na to zbyt przychylnym okiem. Za to Kamila, jego skromna, poważna córka, ma dla młodego Długosza wiele uprzejmości. Długosz łączy do niej. Wkrótce niczego już bardziej nie pragnie, niż „zyskać opinię porządnego, sumiennego, pracowitego człowieka, po to głównie, by uczynić ją Panią swego ogniska”.

Wreszcie, w 1890 roku, jest gotów. A przynajmniej tak mu się wydaje. Nocą, w kopalni Pusty Las, pisze do Kamili długi, szczery list. Nie używa stylu „wysoko nośnego” ani „zwrotów poetycznych”. Przelewa na papier po prostu „to, co płynie mu z serca” (choć czasem płynie bez interpunkcji).

„Chciałem już nieraz ustnie Ci powiedzieć co myślę i czuję – lecz nadaremnie szukam ku temu sposobności, będąc otoczony zewsząd wrogością. [...] wiem, że powodem wszelkich nieporozumień między mną i Twoim ojcem tak domowych jak i w interesie jest właśnie jak się wyraził «ten skok nadludzki który chciałem uczynić» – lecz cóż ja winien że przywiązałem się całą duszą i sercem do Ciebie?

Że ja Cię kocham serdecznie i szczerze chyba Ci pisać nie potrzebuję – wszak to uważać i czuć możesz lecz ponieważ mam to przekonanie że masz dobre i litościwe serduszek choć jest otulone zimną że tak powiem pokrywką to z pewnością odpowiesz mi na pewne pytania które Ci postawić się ośmielę – Czy

mogę liczyć na Twoją wzajemność? Czy prócz uczucia przyjaźni jaką sobie u Ciebie zasłużyłem mogłabyś Kamili świętszym obdarować mię uczuciem? Czy mię choć trochę kochasz?”

SKOCZEK

Nie wiadomo, co odpisuje uprzejma Kamila. Wiadomo, co o tym wszystkim myśli jej ojciec. Cóż zresztą mógłby innego myśleć: Dembowski mieszka w dworze, choćby i drewnianym (z murowanym skrzydłem), młody Długosz zaś kwateruje gdzieś we wsi, która w tym czasie składa się z ledwie setki chat, krytych słomą lub gontem, i czterech żydowskich karczm. Na dodatek Dembowski, niegdyś profesor szkolny w Gorlicach, sam wzbogacił się na nafcie. Wie, że potrafi być kapryśna. Młody, ambitny Długosz to dla niego niechciany konkurent – nie tylko o rękę córki, ale i w interesach. Zwłaszcza że obydwaj zamierzają szukać ropy w Siarach. Ojciec Kamili zaciąga nawet na ten cel kredyt i zastawia hipotekę. Najchętniej zdeptałby impertynenta, który roi o jego córce i jakimś nadludzkim skoku.

Długosz, tak czy owak, decyduje się wykonać swój skok. W 1890 roku także inwestuje całe swoje oszczędności w poszukiwanie ropy naftowej w Siarach. I ponosi klęskę. Traci wszystko.

Ani on, ani Dembowski nie znajdują ani kropli ropy.

ODKRYWCA

W 1893 roku Władysław Długosz podnosi się z upadku. Trzy lata po napisaniu listu nie ustaje w walce, by zasłużyć na rękę ukochanej. Skoro nie stać go już na własne inwestycje, zatrudnia się u innych. W 1893 roku zostaje kierownikiem w kompanii naftowej Bergheim & MacGarvey. Przedsiębiorstwo, założone przez brytyjskiego inżyniera Johna Simeona Bergheima i urodzonego w Kanadzie Irlandczyka Williama Henry’ego MacGarveya, praktycznie kontroluje pola naftowe w całych Austro-Węgrach. MacGarvey szybko zadomawia się w Galicji. Sprowadza tu ze Stanów Zjednoczonych żonę, Helenę Wesołowską, i trójkę dzieci. Robi na ropie tak wielki majątek, że jego młodsza córka Mamie wychodzi za mąż za bratanek grafa von Zeppelina.

Naftowy magnat MacGarvey zaprzyjaźnia się z młodym, ambitnym, lecz splukanym Polakiem. Ma dla niego zadanie specjalne. Wraz z Janem Rączkowskim, niepiśmiennym trzydziestodwulatkiem z Siar, pojedzie szukać ropy w Borysławiu.

O Borysławiu mówiło się, że to „galicyjskie Klondike”.

W połowie XIX wieku tysiące robotników milionami wia-der czerpało tu ropę z płytkich, wykopanych własnoręcznie dziur. Ale pod koniec stulecia powierzchniowe zasoby są już na wyczerpaniu. Władysław Długosz zamierza poszukać głębiej.

Bierze z sobą kompletny ryg wiertniczy systemu kanadyjskiego. Wierci w miejscu, które nazywa się „Na Potoku”. Prace idą źle. Po 500 metrach wiertła grzęzną w pokładach woskowych. Dyrekcja kompanii traci nadzieję na sukces.

Kamila i Władysław Długoszwowie, ok. 1902, za: T. Pabis, Władysław Długosz, Tuchów 2003

Władysław Długosz, z arch. Muzeum Regionalnego PITK w Gorlicach

Dwór Dembowskich w Siarach, ok. 1890, z arch. A. Zachariasz



MacGarvey każe przerwać poszukiwania. Wygląda na to, że ropa po raz kolejny zdradziła Długosza.

Ale on w to nie wierzy. Upiera się przy dalszych próbach. Samodzielnie przebudowuje firmowy sprzęt. Wprowadza grubościennie rury wiertnicze, słabe drewniane żerdzie zastępuje żelaznymi. Ryje coraz głębiej i głębiej. W 1896 roku, na głębokości prawie tysiąca metrów, znajduje drugą warstwę pokładów ropy, tzw. głęboki Borysław. Pierwszy odwiert ma wydajność 40 ton na dobę, ale Długosz przeczuwa, że to dopiero początek. Ma rację. W ciągu kilku najbliższych lat całą okolicę Borysławia i sąsiednich Tustanowic pokryją wieże wiertnicze. Wydajność będzie rosła lawinowo. Uruchomione w 1904 roku Wilno będzie dawać dziesięciokrotnie więcej ropy niż otwór Na Potoku. Litwa podwoi wydajność Wilna. Wykonany w 1908 roku tustanowicki odwiert Oil City pobije je wszystkie na głowę. Da 2500 ton ropy na dobę.

Ale jeszcze zanim się to stanie, w 1896 roku Władysław Długosz znajdzie się na samym szczycie. Nagle spełnią się wszystkie jego sny. Władysław Dembowski wreszcie odda mu rękę swojej córki Kamili. William Henry MacGarvey będzie świadkiem na tym ślubie.

Gorliccy właściciele kopalń, od lewej: Tomasz Łaszczycki i Władysław Długosz, ok. 1900, Zakład D. Mazura, Lwów z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach



Nadanie medalu im. I. Łukasiewicza Władysławowi Długoszowi za pionierskie wiercenia dokonane w Borysławiu w latach 1893–1894, dokument z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach

PAN NA SIARACH

Jeszcze nie skończyło się stulecie, a w Siarach role się odwróciły. Władysław Długosz nie jest już tym młodzieńcem szarakiem, który waży się na nadludzki skok. Jest odkrywcą nowego zagłębia naftowego, dyrektorem kilku kopalń, poważnym przedsiębiorcą. Jego kompan, Jan Rączkowski, choć nie potrafi czytać ani pisać, też został dyrektorem.

Władysław Dembowski – tymczasem – jest zadłużony. Banki domagają się od niego natychmiastowej spłaty kredytów. Siarom grozi licytacja.

Świeżo upieczony zięć odkupuje zastawione Siary i stawia w nich dla Kamili nowy pałac. Ze starego, drewnianego zachowuje jedynie murowane piętro, które za pieniądze zarobione na ropie wystawił jego teść. Do przebudowy prawdopodobnie angażuje modnych wiedeńskich z Atelier Architektonicznego Fellner & Helmer. Projektują z rozmachem. Na stromej skarpie nad doliną rzeki Sękówki wkrótce staje duży białoróżowy neobarokowy gmach z cegły i kamienia, kryty mansardowymi dachami. Otacza go rozległy park. Można w nim dumać nad sadzawką ozdobioną rzeźbami orszaku Posejdona i szukać chłodu pod wspaniałą pergolą. W samym pałacu kamienne kolumny z secesyjnymi zdobieniami wspierają balkony, z tarasu rozciąga się daleki widok ku Sękowej z jej stareńkim drewnianym kościółkiem, a przez wielkie, misterne okna typu *porte-fenêtre* Kamila Długoszkowa spogląda na wysadzaną drzewami aleję i wypatraje, czy mąż nie wraca przypadkiem do domu. Władysława Długosza najczęściej bowiem w pałacu nie ma.

POTENTAT

Może i chciałby spędzać czas z Kamilą, ale ma mnóstwo pracy. Pod jego okiem w Borysławiu i Tustanowicach rosną kolejne wieże wiertnicze Karpackiego Towarzystwa Naftowego,

pogłębiają się szyby, wydłużają rurociągi, ciągnie się prąd, telefon, telegraf, wytycza drogi. Długosz nad wszystkim czuwa osobiście.

W roku 1907 odkryte przez niego Borysław i Tustanowice zalewają kraj tak wielką falą ropy, że rynek się załamuje. Ceny lecą na łeb na szyję (z 5–7 koron za 100 kg do mniej niż jednej). Kiedy rok później rusza gigantyczny szyb Oil City, borysławskie zbiorniki nie wytrzymują. Ropa przelewa się przez ich krawędzie.

Władysław Długosz – który zdążył już rzucić się na szerokie wody polityki – interweniuje w Wiedniu. Właśnie po to się tam znalazł: by czuwać nad rozwojem Galicji i powodzeniem jej przemysłowców. Rząd nie powinien dopuszczać, by marnowało się bogactwo tej pięknej ziemi. Ropą można by przecież opalać choćby austro-węgierskie pociągi!

W 1908 roku Długosz usamodzielnia się. Rozstaje się z MacGarveyem i zawiązuje spółki wydobywcze Długosz–Łaszcz, Dąbrowa oraz Galicyjską Spółkę Naftową z baronem Popperem oraz swym teściem Władysławem Dembowskim. Wkrótce ma już 30 szybów wiertniczych, które dostarczają zawrotną liczbę 1300 wagonów ropy miesięcznie. Jego pozycji



Odbudowa pałacu po zniszczeniach wojennych, na rusztowaniu rodzina Długoszków z oficerami armii austro-węgierskiej, ok. 1916, z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach

Fotografia lotnicza założenia od strony zachodniej, 1930, z arch. A. Zachariasz

Pałacowy taras, obraz A. Terleckiego, namalowany w 1928 r., NAC

nie jest już w stanie zagrozić nawet gigantyczny, trwający 44 dni pożar borysławskich szybów. Jeszcze w tym samym roku zostanie wybrany na posła do sejmu krajowego. Zwiąże się z PSL. Kiedy ludowcy się pokłócą, Długosz opowie się po stronie Wincentego Witosa i wraz z nim stworzy nową formację, od tytułu gazety (na wydawanie której łoży hojnie nafiarcz z Siar) zwaną Polskim Stronnictwem Ludowym „Piast”. W 1911 roku zostaje posłem do wiedeńskiej Rady Państwa i ministrem dla Galicji. Początkowo odmawia. Próbuje nawet uciec z Wiednia, lecz koledzy doganiają go na dworcu kolejowym, sprowadzają z powrotem.

SUMIENIE

Wojnę Długoszowie spędzają w Wiedniu. Władysław ani na chwilę nie przestaje jednak myśleć o Galicji. Domaga się wieści. Podwładni i przyjaciele donoszą mu w listach i rozmowach, co spłonęło, kto umarł, kogo zabito, kogo ewakuowano. Ktoś pewnie mówi mu o Siarach: że w dachu pałacu są dziury, a jedno skrzydło jest uszkodzone. Ktoś opowiada o Williamie Henrym MacGarveyu: jego naftowe imperium spłonęło, on sam (mówią jedni) trafił do obozu internowania albo (mówią inni) znalazł się w areszcie domowym. Zmarł na atak serca

w dniu swoich 73. urodzin. Lista galicyjskich strat i krzywd wydłuża się w nieskończoność. Władysław Długosz zapisuje je wszystkie w pamięci.

Po powrocie z Wiednia natychmiast rzuca się w wir pracy. Walczy o pieniądze na odbudowę Gorlic. Dokumentuje wszystkie przypadki wojennych niesprawiedliwości. Wreszcie, w grudniu 1917 roku, nie bacząc na konsekwencje, wygłasza swoją wielką mowę do Komisji Wojskowej. Mowa zostanie spisana. Zajmie w tej formie aż 30 stron. Długosz opowie w niej o wieszaniu („Mordowano ludzi masami, bez wyboru, bez zastanowienia, bez żadnej różnicy”). O wielkim polowaniu na szpiegów i rozstrzeliwanych bez sądu podejrzanych („Na podstawie wyroków sądów polowych stracono od początku wojny 30 000 obywateli naszego kraju. Ofiarą rozszalałej soldateski padło dalszych 30 000 mężczyzn straconych bez wyroku sądów”). O zakładnikach („Przedstawcie sobie, szanowni panowie, obywatela austriacko-węgierskiego państwa jako zakładnika w ręku austro-węgierskiej władzy”). O rabunkowych rekwizycjach i niszczeniu gospodarstw, zasiewów, żywności („zanim jeszcze przyszli Rosyanie, kraj nasz był już w zupełności splądrowany i do cna zniszczony. [...] Podczas wojny



Władysław Długosz, karykatura autorstwa Kazimierza Sichulskiego, grafika z arch. Muzeum Historycznego Miasta Krakowa

Zniszczony pałac w Siarach, ok. 1916, z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach

Kopalnia ropy naftowej Małopolska w Borysławiu, NAC

straciła Galicya z górą 50 proc. bydła i 70 proc. koni”). O przeprowadzanych zniechęcającą bydlęcymi wagonami ewakuacjach („ogromna ilość chorych, starców, dzieci i kobiet w ciąży zmarła w tych pociągach jeszcze podczas drogi”). O obozach i barakach, które czekały na tych, co przeżyli podróż. Pisze, że demolowano domy i ścinano drzewa. Że rozbierano budynki, by z ich cegieł budować rowy strzeleckie. Że rozstrzelano Gorlice. A potem nie zrobiono dla nich nic, kompletnie nic („Natomiast ponad tem miastem wznosi się wspaniały cmentarz, zbudowany kosztem milionów, przy którego budowie zajęto tysiące jeńców wojennych, przyczem pieniądze nie grały żadnej roli”).

Pisze, że armia austriacka traktowała Galicję jak wrogi kraj, zdobycz wojenną. Przytacza przykłady, dużo przykładów. Nazwiska, daty. Na koniec prosi – o sprawiedliwość.

Ale żadnej sprawiedliwości już nie uzyska. Osiągnie jedynie tyle, że zainteresuje się nim austriacki wywiad. Prędzej spełni się to, o czym wraz z Włodzimierzem Tetmajerem pisze w innej swej rezolucji: Polska odrodzi się niepodległa, zjednoczona i z dostępem do morza.

Władysław Długosz doczeka tego w dobrym zdrowiu. Zdąży jeszcze zostać senatorem i prezesem Państwowej Rady Nafutowej. Założy w Sękowej zgrabną kopalnię ropy, której nada imię „Kamila”. Będzie miał troje dzieci. Maria wyjdzie za mąż za Aleksandra Ostoję Zawadzkiego, wicedyrektora banku, który zginie w pojedynku na pistolety ze Stanisławem Strumph Wojtkiewiczem. Tadeusz Długosz odziedziczy Siary. Rosjanie



Wystawa polskiego przemysłu i rolnictwa w Wiedniu: Widoczni m.in. prezydent Michał Hainisch, pierwszy z lewej; obok Władysław Długosz; pierwszy z prawej – minister Karol Bader, 1927, NAC

Ślub Marii Długoszówny z Aleksandrem Ostoją Zawadzkim, za panną młodą widoczni rodzice i bracia, 1919, z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach



wywiozą go na Syberię, lecz wróci stamtąd, gdyż nie uda się udowodnić mu żadnej winy. Jan, najmłodszy syn Władysława, będzie miał syna – także Jana, świetnego alpinistę, który zginie na grani Kościelca.

Kamila Długoszowa, właścicielka „zimnej pokrywki”, dożyje 96. roku życia. Władysław Długosz umrze 32 lata przed nią, w 1937 roku.

Znowu będzie miał szczęście. Nie zobaczy kolejnej wojny. Ani tego, jak wszystko ponownie legnie w gruzach.



PRZEISTOCZENIE

PRZEŁĘCZ MAŁASTOWSKA. CMENTARZ WOJSKOWY NR 60

W grudniu 1914 roku Ferenc Molnár, autor *Chłopców z Placu Broni*, w siąpiącym deszczu stoi na polu pod Nowym Sączem i nie może oderwać oczu. Oto rozgrywa się przed nim „najbardziej historyczna ze wszystkich historycznych chwil”.

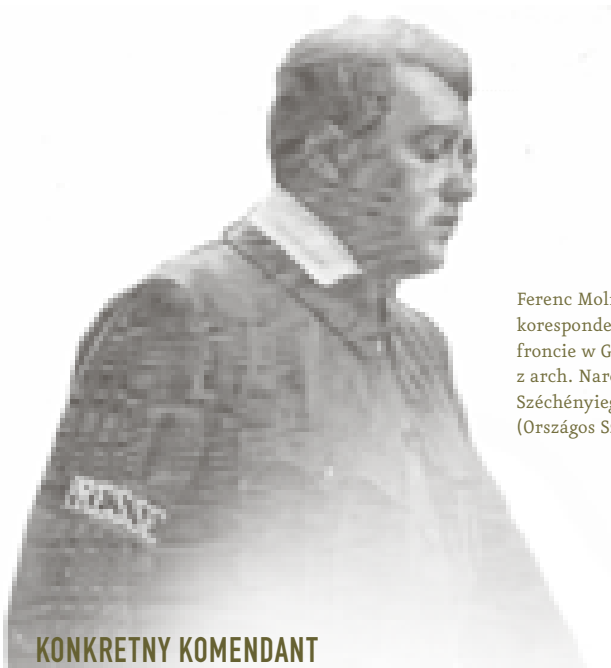
Samotny chłop zakopuje rów strzelecki.

Trzydziestosześcioletni Molnár, który w Galicji przebywa jako korespondent wojenny, już od pewnego czasu dużo myśli o tym, jak pola bitew przemieniają się z powrotem w ziemię uprawną. Ten temat fascynuje go i zachwyca. Molnár przemierza kraj ogarnięty wojną niepodobną do żadnej wcześniejszej z niezachwianą wiarą w stare ideały, notatnikiem w dłoni i monoklem w oku (co drażni żołnierzy, którzy nie mogą przecież wiedzieć, że „ten człowiek z monoklem na chorym oku bardziej ich kocha, bardziej im współczuje niż wielu innych bez szkieł”). Rozmawia z dowódcami, szeregowcami i artylerzystami (chce koniecznie zapisać, jaki odgłos wydaje lecący granat – „uuuuu” czy „iiii”). Zbiera piękne opowieści o wierności i męstwie. Teraz jednak nie robi wywiadu z chłopem. Tylko stoi i patrzy.

„Pochylony, pocąc się, usuwa ślady wojny. Wygładza ziemię, zaszywa długą, bolesną ranę zadaną jej przez żołnierzy, którzy stąd odeszli. Latem – czy to możliwe? – będą stać tu już łąny. Chłop popłakuje przez całą bitwę gdzieś w piwnicy, a gdy wszystko ucichnie, wychodzi i z ojcowską troską leczy swoją ubogą ziemię. Przeistacza okopy. To wąskie, krwawe koryta męki, strachu, płonącej ekstazy stają się znów łagodnym polem ornym. A gdy je znowu zranią, on je znów przeistoczy. Jego wielka egoistyczna miłość do brunatnej ziemi jest naturalna niczym zwierzęcy instynkt. Nie może oderwać od niego oczu.

Między okopem a dziewięcioma stanowiskami dla pojedynczych strzelców jest grób, na nim cieniutki krzyż. Jest na jego ziemi. Co z nim będzie? Jak będzie wyglądać jego przeistoczenie?”.

Jest to pytanie, które najlepiej byłoby skierować do majora Brocha. Jeśli jest ktoś, kto wie, jak wyglądało przeistaczanie żołnierskich grobów w Zachodniej Galicji, to jest to właśnie major Rudolf Broch.



Ferenc Molnár jako korespondent wojenny na froncie w Galicji, 1915/1916, z arch. Narodowej Biblioteki Széchényiego w Budapeszcie (Országos Széchényi Könyvtár)

KONKRETNY KOMENDANT

Mogliby na przykład spotkać się po wojnie. W latach 20. W Wiedniu. Jeszcze zanim Ferenc Molnár wyjedzie do Nowego Jorku, a major Broch popełni samobójstwo załamany kierunkiem, w jakim zmierza świat.

Mogliby usiąść i porozmawiać, a kiedy korespondent idealista zadałby swoje pytanie, major realista westchnąłby i odpowiedział nadzwyczaj konkretnie.

Major Rudolf Broch był człowiekiem konkretnym.

– To, o co pan pyta – rzekłby korespondentowi – najlepiej zilustruje wymowa liczb.

Wszystko zaczęło się od tego, że nasza grupa ewidencyjna zaznaczyła na mapie o skali 1:25 000 odnalezione groby żołnierzy na terenie Galicji Zachodniej. Potem ekshumowaliśmy 42 749 ciał. Zbadaliśmy zwłoki pod kątem nieśmiertelników, listów, notesów i kart pocztowych umożliwiających identyfikację. Uzyskane dane wpisaliśmy do kartotek A, B i C.

Równocześnie do akcji wkroczyli artyści i rzemieślnicy. Znakomici architekci i rzeźbiarze, kierujący dziesięcioma okręgami cmentarnymi, wykonali 600 projektów i planów budowlanych, a także sporządzili dokumentację rysunkową dwóch tysięcy obiektów. Zatrudnieni przez nas malarze stworzyli 400 obrazów olejnych, akwareli oraz miedziorytów o symbolice patriotycznej i sepulkralnej. Pracownicy rzeźbiarskie przygotowały dziesięć rzeźb w kamieniu i drewnie. Dział modelarski dostarczył 30 makiet, a fotograficzny – 1843 zdjęcia.

Nasze oddziały techniczne zbudowały 58 kapliczek, obelisków, kolumn i ołtarzy, a także wykonały 240 dużych krzyży pomnikowych, 13 052 małe krzyże różnych rodzajów, 110 furt

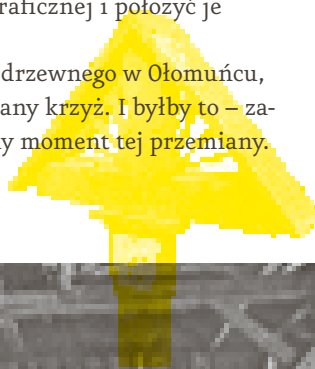
i krat, 120 tablic marmurowych oraz 17 tysięcy emaliowanych tabliczek. Posadziliśmy 3214 wysokopiennych drzew liściastych, 25 tysięcy wysokopiennych drzew iglastych, 34 789 krzewów ozdobnych, 420 tysięcy sadzonek bluszczu i 2100 pnaczy. Posialiśmy 2,5 tony nasion traw.

Zużyliśmy 18 876 ton kamienia łamanego, 5886 ton piasku rzęcznego, 1635 ton cementu portlandzkiego, 357 ton wapna, 270 ton cegieł i dachówek, 61 515 ton drewna modrzewiowego, 244 435 ton drewna miękkiego, 2480 ton drewna dębowego, 5555 ton żelaza kutego, 1140 ton klamer i gwoździ, 1000 ton tynków szlachetnych, 235 ton środków do impregnacji drewna i 85 ton farb olejnych. Wydawaliśmy czasopismo „Kriegsgräber”, relacjonujące postępy naszych prac.

W ten sposób – od lata 1915 do jesieni 1918 roku – na 378 cmentarzach, siłami trzech tysięcy żywych, pochowaliśmy 89 098 ciał, nie wydając na żadne z nich więcej niż dziesięć koron. Było to osiągnięcie, które w warunkach pokoju zajęłoby dziesięć lat i kosztowało 15 milionów koron.

– I w to właśnie przeistoczył się polny grób z cieniutkim krzyżem – mógłby na koniec (z zadowoleniem) oznajmić nieco oszołomionemu korespondentowi major Rudolf Broch, były komendant Krakowskiego Oddziału Grobów Wojennych, urzędu, który z powodzeniem porwał się na niemożliwe. By zaś lepiej unaocznić przemianę, mógłby wyjąć jedno z 1843 zdjęć wykonanych w pracowni fotograficznej i położyć je na biurku.

Byliby na nim pracownicy zakładu drzewnego w Ołomuńcu, wykańczający duży rzeźbiony drewniany krzyż. I byłby to – zatrzymany w czasie – jakiś symboliczny moment tej przemiany.



Hala produkcyjna zakładu drzewnego w Ołomuńcu, za: R. Broch, H. Hauptmann, Zachodniogalicyskie groby bohaterów z lat wojny światowej 1914–1915, Tarnów 1993



POETA INSPEKTOR

Sumienny korespondent Ferenc Molnár (gdyby nie opuścił Galicji w 1915 roku) z pewnością pojechałby to zobaczyć. Być może major Broch dałby mu za przewodnika kapitana Hansa Hauptmanna.

Kapitan (niem. *Hauptmann*) Hans Hauptmann to człowiek równie niesamowity co instytucja, dla której pracuje. Jest po pięćdziesiątce. Kupiec z wykształcenia, z zawodu agent ubezpieczeniowy, a obecnie prawa ręka majora Brocha, przemierza wzdłuż i wszerz Galicję, przeprowadzając inspekcje wznoszonych cmentarzy. Uciążliwe podróże błotnistymi drogami do zagubionych wśród wzgórz i lasów placów budowy nie nużą go. Być może nawet nie zauważa niedogodności. Myślimi jest gdzie indziej. Jego głowę zaprzątają dzielni wojownicy, pośmiertna chwała, niemi bohaterowie, ofiara krwi, braterstwo broni, wierność, wieczny odpoczynek po trudach i wdzięczność Ojczyzny.

Hauptmann Hans Hauptmann, mamrocząc pod nosem, odmienia te słowa przez wszystkie przypadki i układa z nich wierszowane inskrypcje, które zostaną wyryte na cmentarzach. Stworzy tych inskrypcji kilkadziesiąt i choć wszystkie będą o tym samym, każda będzie brzmieć inaczej.

Być może nie miałby nic przeciwko towarzystwu wrażliwego korespondenta wojennego w monoklu. Mogliby pojechać razem na przykład na Magurę. To dobre miejsce, by zrozumieć rozmach cmentarnych przedsięwzięć majora Brocha. Na stokach Magury Małastowskiej trwa wyręb olbrzymich sosen i świerków. Rudolf Czerny, jeden z malarzy zatrudnionych w Krakowskim Oddziale Grobów Wojennych, dokumentuje: wielkie bale leżą pokotem jak zapałki, między nimi uwijają się ludzie – maleńcy jak mrówki. Przygotowują belki, deski i gont; głównie gont. Dušan Jurkovič, kierownik artystyczny I Okręgu „Žmigrod” i autor znajdujących się w nim cmentarzy, w tym cmentarza nr 60 na Przełęczy Małastowskiej, zużywa w swoich projektach niewyobrażalne ilości gontu.

Jurkovič w Krakowskim Oddziale Grobów Wojennych cieszy się zasłużoną sławą czarodzieja drewna.

STARODAWNY BARD, CZARODZIEJ DREWNA

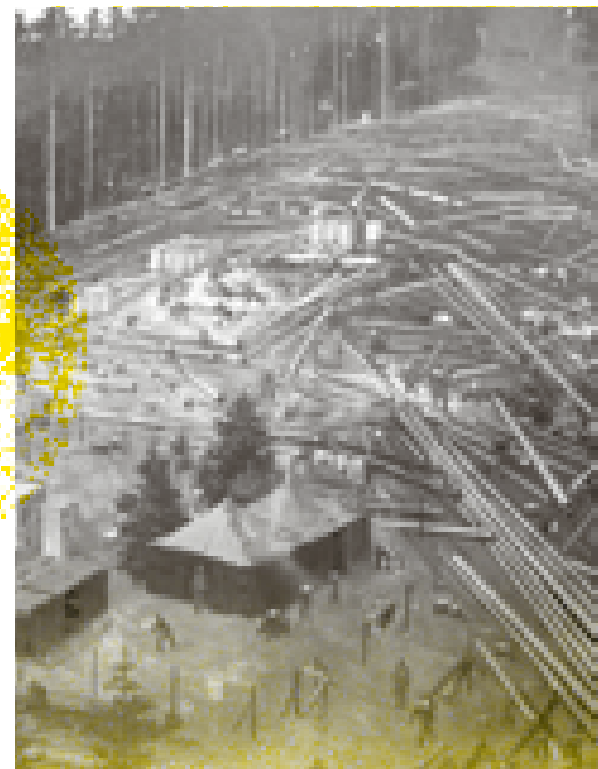
Dušan Jurkovič urodził się na pograniczu słowacko-morawskim. Po dziadku Samuelu, budzieliu narodowej świadomości, wuju Jozefie, przywódcy słowackiej Wiosny Ludów, i kuzynie Svetozárze, poecie, odziedziczył przekonanie, że sztuka powinna służyć narodowi. Z początku nie wiedział tylko, jaka

to ma być sztuka. Wpadł na to w wieku 19 lat, kiedy jako młody student architektury zakochał się w pewnej brami.

Brama była drewniana. Stała w Martinie. Jej autor, Blažej Bulla, był architektem, projektantem mebli, kompozytorem, dramaturgiem i wydawcą oraz wielkim miłośnikiem słowackiej sztuki ludowej. Jurkovič zgłosił się do niego na praktyki, a Bulla zaraził go swoją miłością.

Zarażony Jurkovič przemierzył zachodnią część dzisiejszej Słowacji i znaczną część Moraw w poszukiwaniu inspiracji. Oglądał chałupy, suszarnie, tartaki i pasterskie szałas. To, co zobaczył, wykorzystywał we własnych pracach. Już przed wybuchem wojny zrealizował wiele ciekawych projektów. Ustawił kalwarię na świętej dla Słowian górze Hostýn, zaprojektował kipiący od drewnianych parzenic, rozet i zbójników kompleks Pustevny koło góry Radhošť w Beskidzie Morawskim, na podmurówce z polnych kamieni wznosił drewnianą willę U Rezků dla przemysłowca z Nowego Miasta nad Metują. Opinie krytyków były podzielone. „Ten architekt jest niczym starodawny, romantyczny bard, który sam pieśni

Budowa cmentarza nr 60 na Przełęczy Małastowskiej według tempery starszego kaprała Rudolfa Czernego, z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach





Cmentarz nr 60 na Magurze Małastowskiej projektu D. Jurkoviča, za: R. Broch, H. Hauptmann, dz. cyt.

układa i sam śpiewa, grając na czarownych strunach lutni” – rozplýwał się pewien praski znawca, podczas gdy inny twierdził, że dzieła Jurkoviča są jedynie nędną zbieraniną detali skopiowanych z wiejskich chat.

W chwili wybuchu wojny Jurkovič miał 46 lat. Do wojska zaciągnął się jako ochotnik pospolitego ruszenia. Szybko dołączył do cmentarnego oddziału majora Brocha.

„Gdy dzielono teren, nikt nie miał ochoty na pograniczne Karpaty. Dałem sobie więc przydzielić tę górską krainę – będzie później opowiadał (innemu) dziennikarzowi w wywiadzie prasowym. – Wróciwszy z pierwszego objazdu, wiedziałem już z absolutną jasnością, jak trzeba postępować przy projektowaniu i zakładaniu cmentarzy. Podczas gdy moi wiedeńscy koledzy lokowali swe cmentarze w bezpośredniej bliskości cmentarzy ogólnych, miast i osad, ja wybierałem odległe wzgórza, strome stoki, a przede wszystkim miejsca najgorętszych walk. Podczas gdy moi koledzy zakładali parki, wysypywali ścieżki piaskiem, sadzili krzewiny i drzewa, ja postanowiłem umieszczać moje cmentarzyki w naturalnym pięknie stoków karpaccich, jak gdyby wytworzyły je niewidzialne ręce miejscowej tradycji ludowej. Nie nadsypywałem, nie zwirowałem powierzchni cmentarza, lecz wykładałem je kostkami darni, które już po kilku dniach łączyły się w żywy, zielony kobierzec, z którego wyrastają mogiły okładane kamieniem i wysadzone wrzosem. To zlewanie się terenu cmentarza z otoczeniem nadawało ogólny charakter i kierunek moim pracom”.

Jurkovič stworzył w swoim okręgu 31 cmentarzy. Zagubione w lasach i na wzgórzach, z gontynami – wieżami-kaplicami bez wejścia, zwieńczonymi krzyżami-niekrzyżami, z daleka przypominają tajemnicze prasłowiańskie miejsca kultu. Cmentarz nr 60 na Przełęczy Małastowskiej należy do najpiękniejszych z nich.

WCHODZĄC W TO OBEJŚCIE

W czasach, kiedy Ferenc Molnár mógłby tu przyjechać (na przykład w towarzystwie Hansa Hauptmanna), cmentarz nr 60 wciąż jeszcze leżał na szczycie „potężnych rozmiarów nagiej wierzchowiny”. Jurkovič planował urządzić w jego pobliżu przytułek dla inwalidów wojennych, a okolicę przekształcić w patriotyczny skansen wojenny, z lejami po bombach i linią okopów, lecz zabrakło na to funduszy. Stanął więc tylko cmentarz, z dala przypominający grodzisko: otoczony dwunastobocznym, niemal kolistym murem z drewnianych bali na kamiennej podmurówce, krytym gontowym daszkiem, z przypominającym pogańską świątynię drewnianym ołtarzem-pomnikiem. – Wzniosły i niespodziewany jest widok tej urzekającej swoją skromnością budowli – zagadnąłby może oniemiałego korespondenta wojennego poeta-inspektor Hans Hauptmann: – Niech pan zwróci uwagę, jak przed nim faliście roztaczają się przesiąknięte krwią wzgórza, a w tle ciągną się tajemnicze knieje Karpat...

Łysym wówczas grzbietem korespondent z inspektorem doszliby do bramy. W 67 mogiłach pochowano tu 174 austro-węgierskich żołnierzy. Korespondent ze wzruszeniem oraz współczuciem czytałby na emaliowanych tabliczkach nazwiska węgierskich chłopców, którzy zginęli w ciężkich walkach 1914 i 1915 roku. – Nie zwirowaliśmy alejek – szepnęłby

Cmentarz nr 51 na wzgórzu Rotunda projektu D. Jurkoviča, za: R. Broch, H. Hauptmann, dz. cyt.





Nazwiska umieszczane na wielu mogiłach, jak na tej z cmentarza nr 60, pokazują wielonarodowy charakter armii austro-węgierskiej, fot. J. Nowostawska-Gyalókay, z arch. MIK

może jeszcze dyskretnie kapitan Hauptmann. – Tak jak na niej poległ, tak leśna ziemia przykrywa poległych żołnierzy.

A korespondent, błądząc po runie, doszedłby może do prawego skraju niewyżwirowanej ścieżki i ze zdumieniem odkrył, że nad jednym z grobów wznosi się nie krzyż, lecz drewniana macewa. „Mendel Brod, 4. Batalion Strzelców Polowych” – przeczytałby na tabliczce, zdumiony, że strzelca Broda nie pochowano, zgodnie z tradycją, na kirkucie, lecz pozostawiono tu, w lesie, wśród towarzyszy broni...

Podszedłby też do drewnianego pomnika, zwieńczonego ażurem z połączonych krzyży – krytej gontem kaplicy. Spojrzałby w górę, na płaskorzeźbę Madonny. A na koniec, nie zważając na nieco zakłopotanego kapitana Hauptmanna, przeczytałby inskrypcję:

„Pomnij, przechodniu, wchodząc w to obejście,
Że ziemia setki poległych tu grzebie,
Co młode życie oddali w potrzebie,
By nam zapewnić dziś wolność i szczęście”.

Nawet jeśli kapitan Hauptmann oczekiwałby jakiegoś komentarza na temat swego wiersza, korespondent nie powiedziałby nic. A jego milczenie byłoby wymowne.

ZBYT SZYBKO

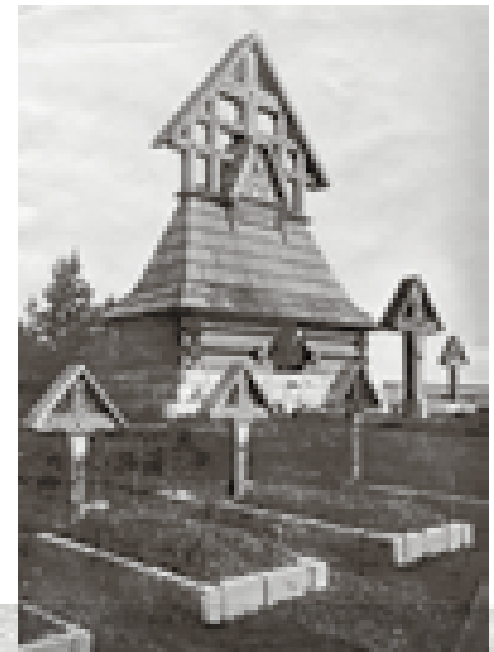
I tak mogłoby to wszystko wyglądać. Oczywiście, gdyby Ferenc Molnár, korespondent wojenny z monoklem w oku i niezachwianą wiarą w człowieka w sercu, nie wyjechał z Galicji zbyt szybko.

Prawdopodobnie nigdy jednak do spotkania nie doszło i jedyne, z czym korespondent został, to obraz samotnego chłopca zakopującego rów strzelecki oraz cieniutkiego krzyża na pojedynczym grobie.

Raczej nie poznał lubującego się w konkretach majora Rudolfa Brocha, komendanta Krakowskiego Oddziału Grobów Wojennych, ani jego zastępcy – poety hauptmanna Hauptmanna. Nie zobaczył pewnie wyrastających w lasach i na wzgórzach spokojnych cmentarzy, na których spoczęli razem

Cmentarz nr 60 na Magurze Małastowskiej, lata 30. XX w., NAC

Ferenc Molnár
wraz z bohaterami
spód Limanowej –
marszałkiem Imre
Haddym i generałem
brygady Dező
Molnarem, czasopismo
„A Hadsereg”, 1916,
dzięki uprzejmości
Feltővári Huszárok
Egyesülete



Austriacy i Polacy, Niemcy i Rosjanie, Węgrzy, Chorwaci, Serbowie, Słowacy, Czesi, Morawianie, Rusini, Włosi, szeregowcy i oficerowie, katolicy, protestanci, prawosławni, Żydzi i Bośniacy muzułmanie.

Prawdopodobnie nie zainteresował się, co po wojnie stało się z czarodziejem drewna Dušanem Jurkovićem (projektował pomniki bohaterów, a w 1943 roku, z własnej inicjatywy, rozpoczął prace nad stworzeniem wielkiego wojennego skansenu-mauzoleum w Stalingradzie. Dla równowagi i z potrzeby służenia narodowi zajął się także dostarczaniem projektów typowych elementów do montażu domków jednorodzinnych. Zmarł w 1947 roku).

Raczej nie spróbował odnaleźć kapitana Hansa Hauptmanna (nikt nie wie, co się z nim stało po wojnie).

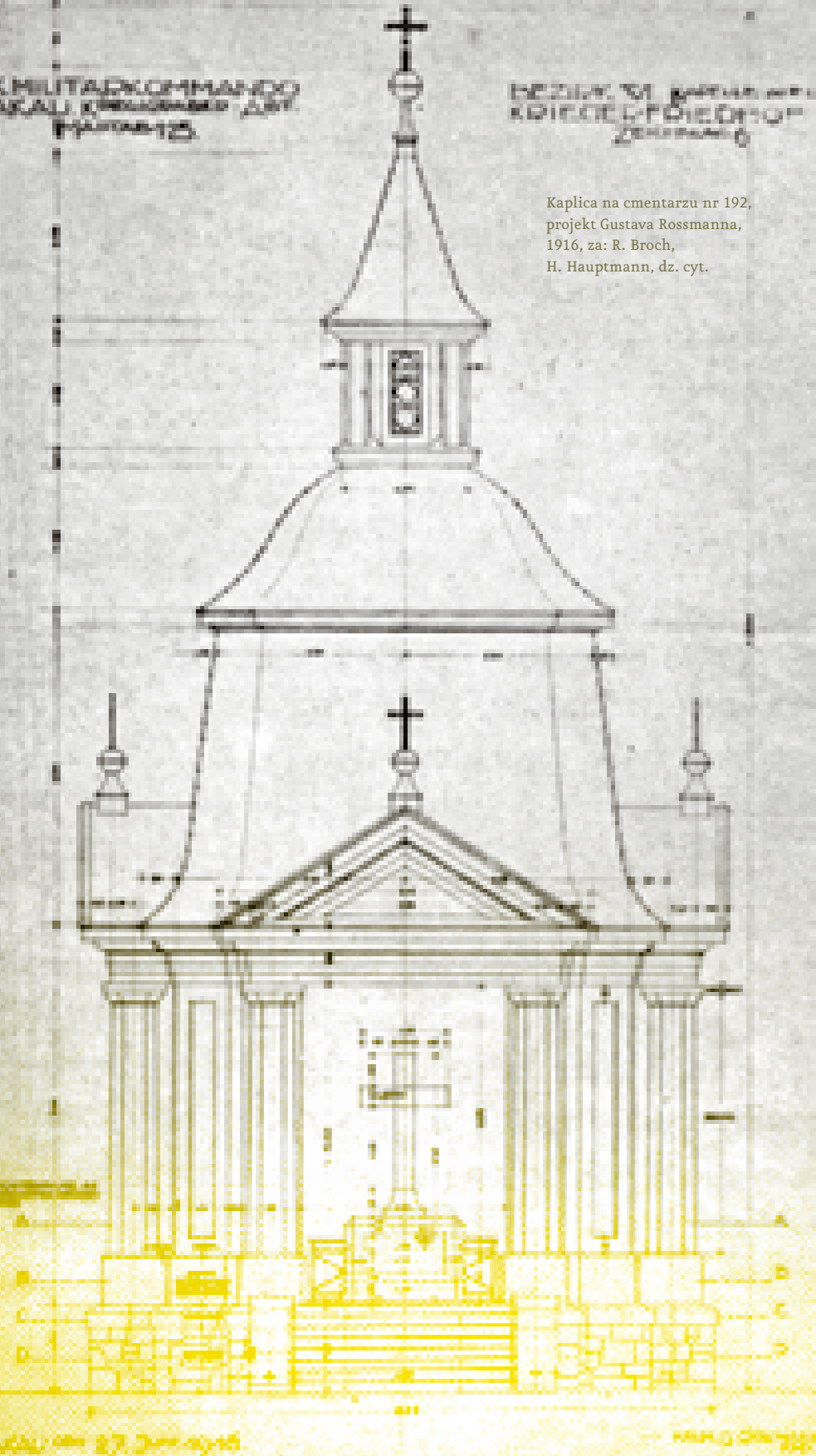
Przypuszczalnie nie zobaczył, jak i w co przeistoczył się dzięki nim naprędce wykopany, polny żołnierski grób.



Samotny grób przy drodze, okolice Gorlic, 1915, z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach



Cmentarz w Gorlicach – tymczasowy wystrój, zaprojektowany na uroczystości zaduszkowe w 1915 r. Na zdjęciu mieszkańcy Gorlic odwiedzający groby poległych, z arch. Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach



PORTRET PRZEDŚMIERTNY LUBINKA. CMENTARZ WOJSKOWY NR 192

„Austria miała dziwną armię. Sędzia był sanitariuszem, budowniczy podoficerem rachuby, inżynier ordynansem, maszynista kolejowy kucharzem, profesor geografii komendantem punktu weterynaryjnego [...]”

František Mikulašek

„chłopi, sklepikarze, robotnicy, pisarze sądowi, drobni żydowscy handlarze, zubożały szlachcic, któremu nie starczyło pieniędzy na wstąpienie do kawalerii, kanceliści firm meblarskich, rezerwiści w binoklach [...]”

Ferenc Molnár

Choć na zdjęciu widać tylko popiersie, Josef Haslauer wygląda na wysokiego i szczupłego. Koszmarna, mokra zima 1915 roku musiała zmienić go w prawdziwy szkielet. Górskimi karpaczkami drogami płynęły wówczas potoki błota. W okopach stała woda po kolana. Kuchnie polowe nie docierały na miejsce i nie było nic ciepłego do jedzenia. Potem przychodził mróz, od którego zamarzały karabiny, i znowu odwilż. Walki były ciężkie, krwawe. Front przesuwał się powoli albo wcale. Bardziej postawni mężczyźni wyglądali po tej zimie jak śmierć.

Być może Josef Haslauer nie zdążył jednak schudnąć. Na zdjęciu podpisano go „zapasowy rezerwista”. Może to oznaczać, że dopiero niedawno trafił na front z okolic rodzinnego Salzburga, by zasilić topniejące siły 59. Pułku Piechoty Austro-Węgierskiej. Jego towarzysze broni od początku wojny walczyli w Galicji. Własnymi ciałami zatrzymali rosyjski „walec parowy” i wykrywali się podczas operacji limanowsko-łapanowskiej. Może ten wysoki, szczupły trzydziestodwulatek dołączył do nich już potem? František Mikulašek, saper po trzytygodniowym kursie, który przez wstrętą zimę 1914 roku wznosił umocnienia pod Gorlicami, zapisał, że na takich świeżo przybyłych rekrutów mówiło się „zające”. I że „zające” nie wiedzieli, co to znaczy wojna. Ale dowiedzieli się.

Na zdjęciu Josef Haslauer wygląda na łagodnego człowieka. Delikatnego nawet. Czy sfotografował się tuż przed wyjazdem na front? Nie wiemy. Nie wiemy też, kim był w cywilu. Fryzjerem męskim? Kelnerem? Początkującym przemysłowcem? Kancelistą w firmie meblarskiej? Wiemy tylko, że 18 lutego o godzinie 7 rano, w 32 roku życia poznał, czym jest wojna.

Tego dnia 59. Pułk atakował Rosjan okopanych w Lubczy Szczepanowskiej. Walki trwały dwie doby i najwyraźniej nie

przyniosły rozstrzygnięcia, bo 21 lutego żołnierze wrócili na pozycje w Janowicach Dolnych.

Zapasowego rezerwisty szeregowca Josefa Haslauera już z nimi nie było. Został na zawsze w środku lasu, 800 kilometrów od Salzburga, „w wiernych objęciach ziemi, której bronił”.

To bardzo piękne miejsce. Kapitan Hans Hauptmann, agent ubezpieczeniowy i poeta, powiedziałby, że cechuje je „uroczą powaga i marzycielskie zagubienie”. I że widać tu, iż mimo najwyższego pośpiechu „okiem i ręką prostych żołnierzy frontowych kierowała podczas grzebania poległych kolegów poetycka, choć może nieświadomiona artystyczna wrażliwość”.



Żałobny szterbebild informujący o śmierci Josefa Haslauera, 1915, ze zbiorów R. Kozłowskiego



Zniszczona przez granat figura Jezusa z krucyfiks z kościoła w Szczepanowicach zawieszona na nowym krzyżu na cmentarzu w Lubince jako wymowny znak pamięci, ok. 1918, za: A. Partridge, Otwórzcie bramy pamięci. Cmentarze wojenne z lat 1914–1918 w Małopolsce, Kraków 2005. Dziś tego krucyfiks już nie ma.

STYPENDYSTA

Heinrich Karl Scholz – jak miało się okazać – też miał szczęśliwą rękę do wyboru miejsc.

Był synem morawskiego szewca. Po ukończeniu szkoły zawodowej w Reichenbergu (dzisiejszym Liberecu) dostał się na wiedeńską Akademię Sztuk Pięknych. Rzeźby uczyli go Hans Bitterlich i Edmund von Hellmer, autor pomnika Johanna Straussa. Miał talent, a stypendium przyznał mu sam cesarz Franciszek Józef. Do wojska zgłosił się jako jednoroczny ochotnik. Był to dobry sposób, żeby odbębnić obowiązkową służbę wojskową. Ten przywilej przysługiwał młodym ludziom z wyższym i średnim wykształceniem: przez rok służyli w wybranym przez siebie rodzaju wojsk, potem mogli przystąpić do egzaminu oficerskiego. Zapewne nie brali pod uwagę, że wybuchnie wojna i zostaną powołani na front. Wojny w Europie nie było przecież od 40 lat.

INNA WOJNA

„O takich walkach na cały świat historia nie pisała. Tak długiej wojny zimą politycy nie przewidywali” – już 6 marca 1915 roku notowała w swoim dzienniku Maria Kromkayowa, wdowa po bieckim aptekarzu. Nawet nie wyobrażała sobie, że walki mogą potrwać jeszcze trzy lata. Prawdę mówiąc, nikt sobie tego nie wyobrażał. Wojna, która wybuchła w 1914 roku, była zupełnie inna niż dotychczasowe.

„Nigdy wcześniej tak wielu ludzi nie ruszyło do walki” – pisze Jerzy Pałosz w książce *Śmiercią złączeni*. Jesienią 1914 roku Niemcy powołali pod broń cztery i pół miliona, Austro-Węgry trzy miliony, a Rosja prawie sześć milionów żołnierzy.

Zabijanie ich zrobiło się tymczasem nadzwyczaj łatwe. W 1886 roku Paul Vieille wynalazł nowy, bezdymny proch. Żołnierz na polu bitwy stał się nagle przerażająco widoczny. Zwłaszcza jeśli jego pułk – jak na przykład 59. Regiment Piechoty z Salzburga – nosił akurat piękne mundurowe kurtki z pomarańczowymi wyłogami i srebrnymi guzikami. Łatwo można było do nich celować z pięciostrzzałowego rosyjskiego karabinu Mosina, który niósł na odległość prawie dwóch kilometrów. Jeszcze prościej było w ogóle nie celować, tylko kosić serią z karabinu maszynowego. Masowo truć gazem bojowym (jak to się działo na froncie zachodnim, rzadziej wschodnim). Umocnienia, w których się kryli, bezceremonialnie zbombardować z moździerza czy haubicy.

Do 30 kwietnia 1915 roku w samej Galicji cesarskie i królewskie wojska straciły 800 tysięcy żołnierzy. Tylko w pierw-

szym dniu operacji gorlickiej – 2 maja – zginęło ich około dwóch tysięcy.

Doświadczeni zawodowi żołnierze i oficerowie polegli w pierwszych miesiącach wojny. Zastąpili ich rezerwiści z poboru. Tacy jak Josef Haslauer. Chłopi, profesorowie geografii, prasy pisarze, polscy malarze, kanceliści firm meblarskich i fryzjerzy męscy. Ludzie, którzy w cywilu mieli prawa wyborcze, należeli do związków zawodowych, opłacali ubezpieczenia, a z frontu pisali listy do żon i matek. Powołano ich pod broń, ale wciąż byli obywatelami. Ktoś ich reprezentował. Ktoś na nich czekał. Kiedy ginęli daleko od domu, ich rodziny z Tyrolu i części Austrii drukowały i rozdawały podczas mszy żałobnej szterbebildy, krótkie nekrologi z ich imionami, nazwiskami, zdjęciami i informacjami, gdzie i kiedy polegli bohaterską śmiercią. Nie można było tak po prostu zostawić ich w lasach lub spalić (jeszcze w 1814 roku zwłoki z pól bitewnych pali się). Mieli prawo do godnego pochówku.

Godny pochówek dla wielu z poległych w okolicach Tarnowa przygotował Heinrich Karl Scholz.

Cmentarz nr 179 w Pleśnej, projekt Heinricha Scholza, za: R. Broch, H. Hauptmann, dz. cyt.



BOHATEROWIE I KROWY

Latem 1915 roku znaczna część Zachodniej Galicji przypomina wielki nieuporządkowany cmentarz. Groby są wszędzie. W lasach, na trudno dostępnych wzgórzach, na podwórkach domów i kamienic, na polach uprawnych. Niektóre, kopane w pośpiechu i pod ostrzałem wroga, są zbyt płytkie. Czuć je. Inne leżą zbyt blisko studni lub ujęć wody. Czasem spoczywają w nich zmarli na tyfus, płamisty, ospę, cholerę azjatycką, czerwone... Zmarli i żyjący zaczynają wyraźnie wchodzić sobie w drogę.

Żywi zaznali już tej wojny, czym jest głód. Teraz, kiedy front przesunął się na wschód, pragną jak najszybciej odzyskać swoją ziemię, orać i siał. W lutym 1916 roku zarząd miasta Gorlice musi upominać mieszkańców, by nie paśli krów na grobach poległych żołnierzy. „Rzeczą zaś będzie zwierzchności gminnej pouczyć ludność, by groby bohaterów szanowała” – apelował ksiądz Świeykowski, argumentując, że może się przecież zdarzyć, iż ojcowie lub synowie tutejszej ludności spoczywają gdzieś daleko od domu i miło byłoby wiedzieć, że ktoś poważa ich mogiły.

Wreszcie 3 grudnia 1915 roku austro-węgierskie ministerstwo wojny podejmuje w sprawie zmarłych zdecydowane kroki. Minister Krobotin podpisuje zarządzenie nr 25 004 i powołuje do życia samodzielny 9. Wydział Grobów Wojennych. Będzie on odpowiedzialny za wszystko, co dotyczy żołnierskich pochówków. W Serbii, Dolomitach, Wschodnich Karpatach, nad Piawą we Włoszech, na Wołyniu i w Galicji powstają delegatury nowego urzędu, współpracujące z lokalnymi komendanturami korpusów.

Na czele Krakowskiego Oddziału Grobów staje kapitan, a potem major Rudolf Broch. Stworzy on w Zachodniej Galicji jedną z najprężniej działających instytucji Monarchii Austro-Węgierskiej. W warunkach wojennych, przy stałym niedoborze surowców i materiałów, ledwie kilka miesięcy po przejściu frontu, zdoła odnaleźć, ekshumować, zidentyfikować i ponownie pochować kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy – zarówno własnej, jak i wrogiej armii.

SYSTEM

Major Broch, czterdziestoczteroletni Austriak z Moraw, żyd z pochodzenia, od 1909 roku katolik, z wykształcenia architekt, jest człowiekiem czynu i konkretności. Potrafi korzystać z uprawnień, jakie przyznało mu wojsko.

Zaczyna od wyreklamowania od służby na froncie kilkudziesięciu malarzy, rzeźbiarzy i architektów. Dziesięciu

z nich powierza kierownictwo artystyczne poszczególnych okręgów cmentarnych. Innych zatrudnia w centrali, w pracowniach Krakowskiego Oddziału Grobów Wojennych. Zamiast strzelać i kryć się w okopach, będą odtąd rysować, projektować i rzeźbić. Major Broch daje im w tym względzie praktycznie wolną rękę.

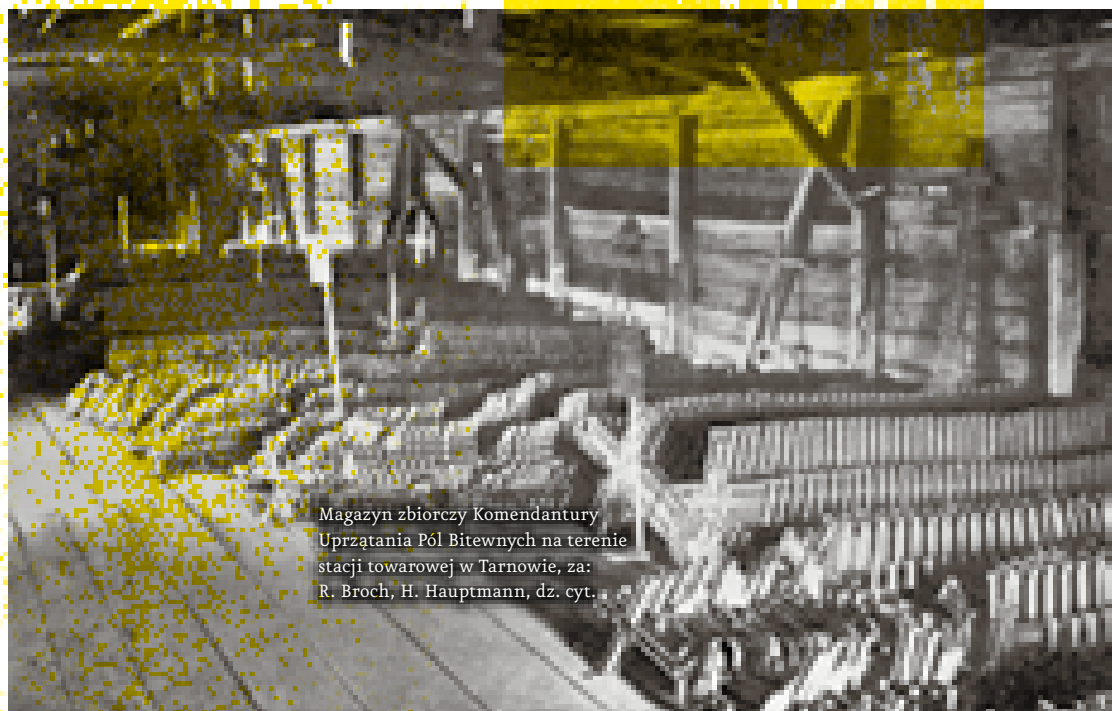
Porucznik Jan Szczepkowski, rzeźbiarz, uczeń Laszczki i Małczewskiego, student Rodina, ciężko ranny (w kregosłup), w maju 1915 roku zostanie kierownikiem IV Okręgu Cmentarnego „Łużna”.

Porucznik Alfons Karpiński, artysta malarz, ranny w bitwie pod Kraśnikiem, będzie jurorem wewnętrznych konkursów na najlepsze projekty cmentarzy.

Porucznik Hans Mayr, architekt, uczeń Ottona Wagnera, pokieruje III Okręgiem „Gorlice”.

Pełniący służbę architekt Dušan Jurkovič, zakochany w sztuce ludowej Słowak, umocni swą sławę jako czarodziej drewna i mistrz kamienia.

Sam major Broch zadba o to, by w trudnych wojennych warunkach nie brakło im niczego do pracy. Ministerstwo wojny na jednego poległego przeznacza jedynie dziesięć koron (trzeba go za to odnaleźć, ekshumować, zidentyfikować i ponownie pogrzebać), więc major prośbą, groźbą i emocjo-



Magazyn zbiorczy Komendantury
Uprzątnięcia Pól Bitewnych na terenie
stacji towarowej w Tarnowie, za:
R. Broch, H. Hauptmann, dz. cyt.

nalno-patriotycznym szantażem zdobywa pieniądze, grunty i surowce. Negocjuje z zakładami przemysłowymi bezpłatny dostęp do maszyn i materiałów. Rozprowadza także ponad 1 466 220 propagandowych kart pocztowych, 2662 plakietki, 104 400 odznak i wiele innych pamiątek, co pozwala mu podreperować budżet oddziału o 235 537 koron i 41 halerzy.

Przez jedną z tych pocztówek Heinrich Karl Scholz doczeka się przezwiska „Dekownik”.

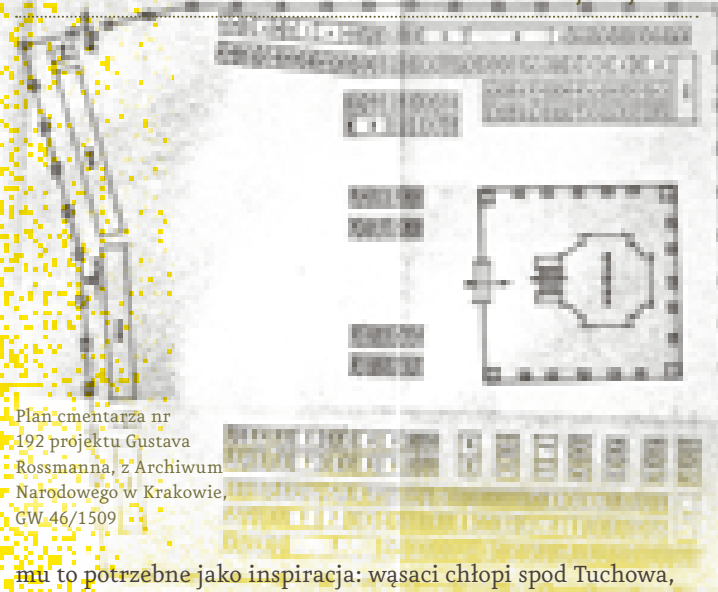
CIEPŁE ŻYCIE

Od 1916 roku Heinrich Scholz pełni służbę w Krakowskim Oddziale Grobów Wojennych i jest kierownikiem artystycznym VI Okręgu „Tarnów”.

Trafił mu się trudny teren. Służby ewidencyjne doliczyły się tu 10 643 ciał do pochowania. Wiele leżało w niedostępnych miejscach – na górskich stokach, z dala od dróg. Zmarłych przybywało – w szpitalu w Tarnowie wciąż umierali ranni. W ciągu dwóch lat trzeba było wybudować tu 62 cmentarze. Autorem pięćdziesięciu był Scholz.

Już wiosną 1916 roku widziano go w okolicach Tarnowa. Trzydziestopięciolatek ze szkicownikami w dłoni jeździł tam, gdzie w lasach i na polach spoczywali polegli żołnierze. Rozglądał się. Chłonał atmosferę tego, co kapitan Hauptmann swym trudnym do podrobienia stylem określiłby jako „dziką i romantyczną, w cichej samotności zagubioną górską krainę, której odwieczne piękno pozostało nietknięte przez uporczywe i wściekłe zmagania ludzkie”. Dużo rysował. Być może było

Wystawa projektów i makiet cmentarzy wojennych w Galicji Zachodniej w Pałacu Sztuki w Krakowie, 1916, za: A. Partridge, dz. cyt.



mu to potrzebne jako inspiracja: wąsaci chłopci spod Tuchowa, rosyjski jeńiec o pulchnej, okrągłej twarzy, w futrzanej czapie, z profilu i *en face*... Na gorąco szkicował pomysły. Do czerwca 1916 roku miał już gotową większość projektów. Ich makiety pokazał na wystawie w krakowskim Pałacu Sztuki.

„Jego prace wydają się zrodzone z dwu myśli mocno w nich zespolonych: z nieśmiałej pokory wobec zimnego majestatu śmierci i utrwalonego we wspomnieniach dumnego i kochającego serca artysty, zaufania do ciepłego życia” – zanotował kapitan Hans Hauptmann.

DOBRA RĘKA

To miejsce pewnie też go urzekło. Było spokojne. Odludne. Zagubione w lesie między Janowicami a Lubczą Szczepanowską.

Hans Hauptmann twierdził, że Heinrich Scholz miał dobrą rękę do wynajdywania takich miejsc. Zazwyczaj projektował prostokątne cmentarze z centralnym pomnikiem (najlepiej betonowym krzyżem). Tym, co je wyróżniało, był piękny wystrój rzeźbiarski. W Siemichowie wyrzeźbił św. Jerzego zabijającego smoka. W Bochni – Tanatosa. W Siedliskach kazał stanąć kurosovi, młodzieńcowi z girlandą dębowych liści.

Za zaprojektowanie innego cmentarza w Siedliskach, niedużego, skupionego wokół figury Madonny – a dokładnie za pocztówkę z jego wizerunkiem – Scholza czeka wyzwanie: „Dekownik Rzeźbiarz”. Znajdzie się ono w słynnej powieści Jarosława Haška o wojaku Szwejk. Jej bohaterowie dostaną pocztówkę w przydziale, zamiast 15 kg ementalskiego sera, i z zawiescią będą myśleć o jednorocznym ochotniku Scholzu, który rzeźbi, zamiast tkwić z nimi w okopach.

Do 1918 roku Heinrich Scholz zaprojektuje w Galicji 50 cmentarzy. Będzie autorem większości miejsc pochówku w kierowanym przez siebie Okręgu „Tarnów”. Cmentarz wojenny nr 192 w Lubince będzie jednym z nielicznych na tym terenie, który nie wyjdzie spod jego ręki. Wewnętrzny konkurs na projekt założenia wygra bowiem Gustav Rossmann. To on obmyśli godne miejsce spoczynku dla Josefa Haslauera.

MOWA POGRZEBOWA

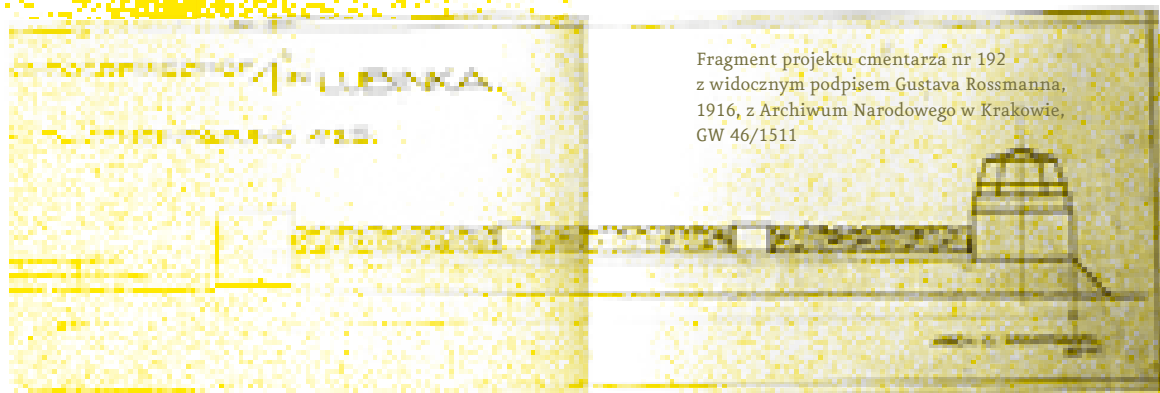
9. Wydział Grobów Wojennych przetrwa do 5 czerwca 1917 roku. Zostanie wówczas przekształcony w 10. Wydział Strat. To już jednak ostatnie podrygi wielkiej cmentarnej idei. Wielki gmach Cesarstwa Austro-Węgier chwieje się. Wypadają z niego pojedyncze cegły.

7 stycznia 1919 roku Wydział Strat także przestaje istnieć. Major Rudolf Broch, wówczas już przewodniczący austriackiego Czarnego Krzyża, wygłasza mowę pogrzebową. Jest bardzo konkretny. – Najlepiej – mówi – skalę tego, co osiągnęliśmy, zilustruje wymowa liczb...

Wymieniając liczby, major Broch martwi się jednak o przyszłość swoich cmentarzy. Proponuje, by w sąsiedztwie osiedlać weteranów wojennych. W zamian za trochę ziemi ornej opiekowałiby się mogiłami dawnych towarzyszy...

To już jednak koniec. Koniec cesarstwa, koniec wojny, koniec wielkiej cmentarnej idei. Niedługo świat zmieni się jeszcze bardziej. Nadejdą mroczne czasy. Rudolf Broch, awan-

Cmentarz nr 192, ok. 1918,
A. Partridge, dz. cyt.



Fragment projektu cmentarza nr 192 z widocznym podpisem Gustava Rossmanna, 1916, z Archiwum Narodowego w Krakowie, GW 46/1511

sowany na podpułkownika, odejdzie do rezerwy. Zamieszka w Wiedniu. Po Anschlussie Austrii, mimo żydowskiego pochodzenia, nie będzie próbował się ukrywać. Liczy na to, że chronią go jego zasługi.

Myli się. Będzie zmuszony kilkakrotnie zmieniać mieszkanie. W 1942 roku, najwyraźniej załamany kierunkiem, w jakim zmierza świat, popełni samobójstwo.

WIERNE OBJĘCIA

Cmentarz nr 192 w Lubince to bardzo piękne miejsce. Reprezentacyjne. Doniosłe. Gustav Rossmann, niemiecki architekt z Düsseldorfu, także uczeń słynnego Ottona Wagnera, kierownik artystyczny V Okręgu „Pilzno”, projektując je, wspiał się na wyżyny swego kunsztu. Stworzył rozległy (jeden z czterech największych w okręgu!), prostokątny cmentarz z neorenesansową kaplicą.

Otocza ją 675 grobów. W 218 spoczywają Rosjanie, w 457 – żołnierze armii austro-węgierskiej. Leżą tu strzelcy tyrolscy, piechociarze z Linzu i Grazu, Czesi z Jihlavy i Pragi, Włosi, Ukraińcy z Czortkowa, strzelcy cesarscy, węgierscy honwedzi z 9. Pułku Piechoty oraz salzburczycy z 59. Pułku Piechoty. Hans Hauptmann ułożył na ich cześć inskrypcję: „Jak opoka twardzi / Jak ta góra hardzi / Odpieraliśmy najeźdźców / Leżymy teraz niemi w wiernych objęciach / Ziemi oddanej naszej pieczy”.

Jest wśród nich Josef Haslauer, chudy, delikatny „zapasowy rezerwista”, który nigdy nie wrócił do domu.





DZIECI NOWEJ ERY (I ICH ZABAWKI)

ZESPÓŁ TARNOWSKICH WODOCIĄGÓW

„Narysowałem armatę z grupą
artylerzystów, wyglądają jak jej dzieci”
baron László Mednyánszky,
węgierski malarz, korespondent wojenny

Mówiło się o niej jak o jakimś bóstwie. Odwiedzała Tarnów trzykrotnie. Jeździła pociągiem złożonym z 12 wagonów. Ważyła wraz z nim 235 ton. Kiedy miała stacjonować w lesie, zbudowano dla niej bocznice.

W mieście nazywano ją apokaliptyczną bestią. Zmorą, która dławi ludzi we dnie i w nocy. Jeńcy opowiadali, że spowodowała wiele przypadków szaleństwa, ogłuszała, oślepiała, dosłownie wybijając oczy. Potrafiła sprawić, że dwupiętrowy dom po prostu zniknął, bez szans nawet na odnalezienie mebli, przedmiotów, które znajdowały się wewnątrz.

Słup ognia, którym zionęła, sięgał 40 metrów. Żołnierze wyznaczeni do obsługi traktowali ją z mieszaniną uwielbienia i lęku. Kiedy była niegroźna, bawili się z nią jak kocięta. Włazili jej do lufy. Poufale siadali na grzbiecie. Igrali z 800-kiłogramowymi pociskami. Wiedzieli, że nic im nie zrobi.

Ale nawet oni chowali się, kiedy haubica nadbrzeżna kalibru 42 cm, największe działo swoich czasów, zabierała się do roboty, by bombardować Tarnów.

Żołnierz na pocisku
kalibru 30,5 cm, Galicja,
„Český svět” 1915

Pociski austriackiej
artylerii, Staniątka,
1915, NAC



NOWA ERA

W 1910 roku, rankiem, w nowo wybudowanej hali pomp w podtarnowskim Świerczkowie inżynier Zygmunt Ursini czeka, by podjąć gości śniadaniem.

Hala pomp wodnych (nisko- i wysokoprężnych) nie jest najodpowiedniejszym miejscem do podejmowania gości, lecz 24 listopada to niezwykle dzień. To „Święto Inwestycji”. Dzień w Tarnowie rozpoczyna się nowa era. Nowoczesność wkra-
cza do miasta kablami właśnie uruchamianej elektrowni, w kłębach pary wjeżdża na dwukrotnie większy niż przed przebudową dworzec, dzwoni dzwonkiem tramwaju, muska rury świeżo położonego wodociągu. Inżynier Ursini, który osobiście nadzorował układanie tych rur, budowę ujęcia, pompowni i zbiorników wody, obrzuca pompy gospodarskim okiem i czeka na dostojnych gości.



Zygmunt Ursini, z arch.
Tarnowskich Wodociągów

Dworzec kolejowy w Tarnowie,
na drugim planie wieża
ciśnienia, NAC



Zbiornik wody w Krzyżu, 1910, z arch.
Tarnowskich Wodociągów

Dostojni goście mają tego dnia mnóstwo roboty. Burmistrz, biskup, miejscy radni, lokalne elity – wszyscy musieli wstać bardzo wcześnie. Od samego rana otwierają dworzec kolejowy i przecinają kwietną wstęgę, krępującą koło rozpędowe elektrowni. Biskup niestrudzenie macha kropidłem. Zanim – otuleni futrami i kocami – zapakują się do bryczek, by ruszyć w dziewięciokilometrową drogę do Świerczkowa, inżynier Ursini zdąży się pograć w wspomnieniach.

W Tarnowie jest od ponad roku. Przyjechał ze Lwowa, by wybudować wodociąg na podstawie projektu stworzonego przez dr. Maksymiliana Matakiewicza, specjalistę od budownictwa wodnego, który wygrał otwarty konkurs na stanowisko inżyniera hydrotechnika w tarnowskich wodociągach. Tarnów desperacko potrzebował wody.

U progu XX wieku miasto miało studnie nieliczne i brudne. Prześiąkała do nich zawartość dołów kloacnych. Karol Trochanowski, chemik, balneolog, radny i dyrektor szkoły realnej w Tarnowie, już w 1879 roku stwierdził, że to, co piją mieszkańcy, wcale nie nadaje się do picia. W kolejnym roku ogłosił to w pracy *Chemiczny rozbiór wód studziennych i rzecznych miasta Tarnowa*.

To wstyd dla miasta, które szczyliło się jednym z dwudziestu najstarszych wodociągów na ziemiach polskich. Tarnów miał już bowiem rurociąg. Drewniany. Składał się z sosnowych pni połączonych metalowymi tulejami. Woda płynęła nim, niczym akweduktem, sama; czerpana na wzgórze w miejscowości Krzyż – 242 metry nad poziomem morza, w miejscu, gdzie rozpoczynał swój bieg potok Klikowski – dzięki sile grawitacji docierała 2600 metrów dalej, na rynek.

Ale to, co w średniowieczu stawiało Tarnów w szeregu najnowocześniejszych miast, w XIX wieku było niewystarczające.

Dwie studnie na rynku, w których zbierała się doprowadzona rurociągiem woda, cuchnęły. Powód był prosty: „nosiwody konewkami, które nieraz w niechlujstwie stawiają, czerpią potem wodę z rezerwuaru”...

Właściwie nic dziwnego – mógłby pomyśleć inżynier Ursini, wyglądając przez wielkie okna hali pomp – nic dziwnego, że jeszcze w 1866 roku epidemia cholery zabiła tu 1700 osób.

W 1906 roku, trzy lata przed przyjazdem inżyniera, lokalny tygodnik „Pogoń” o tarnowskiej wodzie pisał per „gnojówka”. „A czyż choćby tej gnojówki mamy pod dostatkiem? Broń Boże!” Problem był zwłaszcza w piątki, kiedy pełną parą pracowała zasilana z wodociągu łaźnia żydowska. Przy studniach działały się wówczas niesłychane rzeczy: „Wodziarze, broniąc przystępu do pomp, popychają i kułakują owe sługi czy parobków, którzy przez służbodawców po wodę są wysyłani, a że niejednokrotnie – jak to mówią – trafia kosa na kamień, więc sypią się iskry z oczu i głów zapaśników, mnóstwo gapiów traci czas na przypatrywaniu się bójkom i przysłuchiwaniu kłótni, i kończy się na tem, że owa gospodyni, która swą służbę po wodę posłała, oczekuje godzinami na to, by się dowiedzieć, że jej nie dostanie, bo przeważający liczebnie i fizycznie wodziarze zazwyczaj zostają zwycięzcami”.

Tarnowska łaźnia izraelicka, 1902, nakładem
A. Kenichla, z arch. Fotopolska



Budowa odzężniacza
w Świerczkowie, 1910,
z arch. Tarnowskich
Wodociągów



Prasa domagała się poprawy higieny. Rajcy naciskali w sprawie lepszego zaopatrzenia w wodę. Debatowano o budowie studzien i kładzeniu rur. „Czy wystarczy wody z tych studzien? – niepokoił się z miejskiej mównicy ksiądz kanonik Leśniak. – Jest to bowiem bardzo wątpliwem wobec faktu, iż co piątek, gdy łaźnia żydowska cały zapas wody z rur miejskich zużyje, falanga wodziarzy i sług oblega ratusz”. Wystąpienie księdza jako kwestię wyznaniową odebrał żydowski radny dr Ringelheim i natychmiast wygłosił obszerny wykład o czystości rytualnej oraz gorzko wypomnił, że tarnowscy Żydzi zawsze głosują przychylnie katolikom, na przykład w sprawach datków na Kościół. Ksiądz Leśniak prostował, że przemawiał przecież właśnie w interesie Żydów... Woda stawała się w Tarnowie iście palącym problemem.

Tadeusz Tertil, doktor praw i prezes tarnowskiego „Sokoła”, o potrzebie wodociągu pisał już nawet wiersze.

I wtedy wreszcie coś zaczęło się dziać, myśli inżynier Ursini, choć te wydarzenia zna jedynie z opowieści: rada miasta zdecydowała stworzyć fundusz wodociągowy, rozpoczęły się – trudne! – poszukiwania czystej wody, ściągnięty ze Lwowa dr Maksymilian Matakiewicz zaczął projektować przyszły rurociąg... A 14 stycznia 1907 roku burmistrzem został Tadeusz Tertil, ten sam, który pisał wodociągowe poezje. Już kilka miesięcy później, w październiku, rada miasta jednogłośnie przegłosowała budowę wodociągu. Dr Matakiewicz awansował tymczasem na profesora i wrócił do Lwowa. Konkurs na zwolnioną przez niego posadę inżyniera kierownika biura wodociągowego wygrał trzydziestojednoletni Zygmunt Ursini...



Pracownicy Biura Wodociągowego,
w jasnych garniturach dyrektorzy, od lewej
Mojżesz Leuchter, obok prawdopodobnie
Zygmunt Ursini, ok. 1919, z arch.
Tarnowskich Wodociągów

I oto jest, właśnie tu, w Świerczkowie, w miejscu, gdzie wreszcie udało się znaleźć czystą, wolną od bakterii, amoniaku i żelaza wodę. Inżynier Ursini spokojnie przygląda dyskretny wąs i ciemne włosy. Łysieje, wie o tym. Zgryzoty coraz silniej odsłaniają mu głowę od czoła ku tyłowi czaszki. Spogląda teraz na swoje dzieło, wreszcie ukończone: ujęcie wody, z którego ku miastu i zbiornikowi w Krzyżu wybiega 9981-metrowy rurociąg. Patrzy na zaprojektowaną przez siebie zgrabną, widną halę, w której pompy wysoko- i niskoprężne tylko czekają na elektryczną iskrę, mającą wprawić je w ruch. Może ukradkiem głaszcząc je dłonią, jak posłuszne zwierzęta.

Być może na krótką chwilę pozwala mu to zapomnieć o tragedii sprzed czterech dni.

A potem dzwonią dzwonki bryczek i przed halą zajeżdżają zgłodniałi, lecz radośni dostojnicy, wygrzebuja się spod pledów i futer – burmistrz, radni, duchowieństwo – i trzeba ruszać, ścisnąć dłonie, poklepywać plecy, przyjmować gratulacje, witać, klaskać i podejmować śniadaniem.

Trzy dni później „Pogoń” doniesie, że śniadanie było „skromne, lecz wykwintne”. Zacytuje biskupa Wałęgę, który machając kropidlą, życzył, ażeby ta woda wraz ze zdrowiem fizycznym i moralne uzdrowienie przyniosła. Opiszę prześlicznie skonstruowane wystąpienie burmistrza Tertila, które było hymnem pochwalnym na cześć wszystkich z zupełnym pominięciem swej własnej osoby. Zrelacjonuje rozpoczęty o 16.30 bankiet na 120 osób w sali kasynowej. Godziny płyną

na nim tak mile, że dopiero późną nocą rozeszli się ostatni goście. To obszerny artykuł. Przeczytawszy go, można zlekceważyć „Kronikę miejscową i zamiejscową”. Można nie mieć ochoty zerkać do rubryki „Zmarli”.

Można przeoczyć wiadomość: „Zygmunt Ursini, jedyny synek dyrektora wodociągów miejskich w Tarnowie, zgaśł w 10 miesiącu życia d. 20 b.m.”.

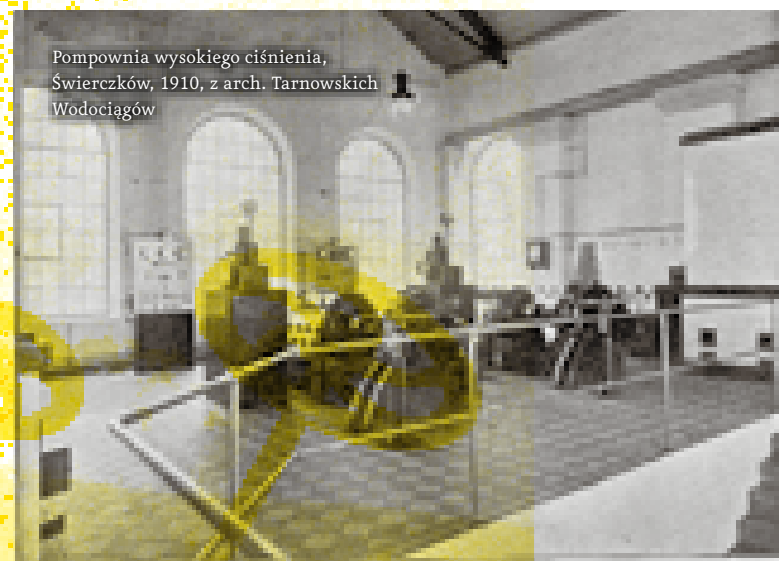
GWIZD

Kiedy potwór po raz pierwszy strzela w stronę Tarnowa, cała jego obsługa kryje się, gdzie może. Chodzi o to, żeby jak najmniej słyszeć.

„Artyleria ciężka raz i najpierw nerwy żołnierza, a dopiero potem jego samego” – notuje Ferenc Molnár, korespondent, który od dłuższego czasu próbuje zapisać odgłosy wydawane przez różnego rodzaju pociski. Wie już, że szrapnel chichocze histerycznie, jak hiena. Wie, że „ciężki granat swoim śpiewem niszczy układ nerwowy”. Wie, jak straszny, „przenikliwie krzykliwy i zwierzęco okrutny, wręcz szyderczy” jest głos pocisku. „gdy wylatuje z lufy i ochryple piszczy w powietrzu”.

Ku zaskoczeniu wszystkich okazuje się, że odgłos moździerza nie jest dla obsługi dokuczliwy. „Zasadniczo różni się od mocnego i nieznosnego grzmotu innych ciężkich dział – jest to bardzo głęboki, lecz głuchy dźwięk”.

Inaczej zapatrują się na to mieszkańcy ostrzeliwanego Tarnowa.



Pompownia wysokiego ciśnienia,
Świerczków, 1910, z arch. Tarnowskich
Wodociągów

„Naprzód powietrze wypełniał przeciągły, wyjący gwizd, tak przeraźliwy, że budził mieszkańców ze snu. Gwizd ten trwał zwykle dwadzieścia sekund, a przez osobliwe złudzenie akustyczne każdemu zdawało się, że pocisk wyje mu tuż nad głową i ugodzić musi w najbliższą kamienicę...”

FEERYCZNE MIRAŻE

Rok wcześniej, w Białym Domu, Stanisław Grabowski, wermistrz tarnowskich wodociągów, z rezygnacją spogląda na swój ulubiony fotel i grzbiety zgromadzonych książek. Żegna się z żoną Heleną, wyższą od niego prawie o głowę, kobietą zachwycającą i majestatyczną. Nie wie, czy jeszcze tu wróci.

Właśnie upomniało się o niego austriackie wojsko.

W Białym Domu wermistrz Grabowski zdążył pomieszkać zaledwie rok. Ten niezwykle budynek wśród tarnowskich kamienic wyrasta „jak secesyjna anomalia”. Dwupiętrowy tynkowany dom z cegły stoi wolno w ogrodzie, godząc w niebo wieżyczką w północno-zachodnim narożniku. Zgrabny wykusz wspiera na barkach para atlantów z minami cierpiętników. Wszystko to zaprojektował prawdopodobnie sam inżynier Ursini, zapewne z pomocą swojego zastępcy (i następcy) inżyniera Mojżesza Leuchtera, wychowanka Technische Hochschule w Wiedniu, i może też architekta Szczęsnego Zaręby. Wodociągi potrzebowały siedziby – miejsca na warsztaty, magazyny, biura zarządu, mieszkania dla pracowników. Już w pierwszym budżecie znalazło się 60 tysięcy koron na budynek administracyjny.

Biały Dom – z gruntem, umeblowaniem i ogrodzeniem – kosztował 190 tysięcy. Stał w niespełna rok. Był nowoczesny. Wygodny. Stanisławowi Grabowskiemu dobrze się tu mieszało. Cenił tutejszy telefon (który łączył na biurko inżyniera Ursiniego), wykusz z atlantami i czteropokojowe mieszkania z wykafelkowanymi łazienkami. Ołowiane przyłącze nr 771, którym 17 maja 1912 roku monter Pfeifer połączył dom z siecią wodociągową, było wykonane fachowo i działało bez zarzutu.

Tarnowski wodociąg funkcjonował już wówczas od ponad roku. Dziesięć studni głębinowych, pompownia, przepompownia, odzłaziacz, zbiornik w Krzyżu o pojemności 2500 metrów sześciennych, rurociąg o długości 9981 metrów i sieć rozdzielcza na prawie 40 tysięcy m³ na dobę – wszystko działało znakomicie. Jeszcze w grudniu 1910 roku inżynier Ursini urządził spektakularne próby ciśnieniowe i płukanie rur. Dziennikarze „Pogoni” cieszyli się jak dzieci, kiedy z hydran-

tów tryskały fontanny ponad dachy dwupiętrowych kamienic. „Woda wypuszczana hydrantami miała wszelkie po kolei barwy, i tak: czarną, czekoladową, szarą, ale co dzień czystsza, a ta, którą w czwartek zlanano plac Kazimierza, tworzyła już całkiem przeźroczystą parabolę”.

Próby wypadły pomyślnie. W rurach nie było ani jednego pęknięcia, a drobną nieszczelność wykazały jedynie dwa z 278 hydrantów. 15 stycznia 1911 roku wodociąg oddano do użytku. W ciągu pierwszego roku działania system zasilający trzy tysiące kurków, 67 umywalek, 1109 klozetów i 86 pisuarów zaliczył tylko jedną awarię!

Sieć rozrastała się i potrzebowała solidnego, fachowego opiekuna. Stanisław Grabowski doskonale się na niego nadawał. Fachu nauczył się w szkole rzemiosł w Krakowie. W krakowskiej firmie inżyniera Leonarda Nietscha i Spółki, gdzie znalazł zatrudnienie, musiano cenić jego umiejętności, skoro to właśnie jemu powierzono montaż centralnego ogrzewania u Jaśnie Wielmożnej Pani Prezydentowej Leowej, w pałacu Larischa w Krakowie.



Strona tytułowa czasopisma „Pogon” 1910, nr 48, poświęcona „Świętu Inwestycji” w Tarnowie

Wkroczenie do Tarnowa 18. Pułku Piechoty Honwedów, 1915, z arch. Narodowej Biblioteki Széchényiego w Budapeszcie (Országos Széchényi Könyvtár)

Nic dziwnego, że z takimi referencjami Stanisław Grabowski bez problemu dostał posadę werkmistrza tarnowskich wodociągów i mieszkanie służbowe w Białym Domu. Inne lokale zajmują tu między innymi inżynier Klimczak z dyrekcji elektrowni („obdarzony głębokim, dźwięcznym barytonem”) i chudy, dłuższy inżynier Wowkonowicz z wodociągów, niezrównany recytator *Na Anioł Pański* Tetmajera. Na drugim piętrze mieszka sam dyrektor Ursini, tegi, dostojny, o dygnitarskim wyglądzie. Czasem inżynier Ursini każe zaprząć do bryczki i zabiera dzieciaki współlokatorów za miasto, do zbiornika w Krzyżu. „Odmykało się przed nami, jak czarodziejskie pudełko, podziemne królestwo filtrów, o mrocznych halach i korytarzach, chłodnych jak sztolnie Wieliczki, ze ścianami oszroniałymi rosą i trawiącymi się ściekającą wodą. W tych zamkach czuło się obecność Neptuna i jego oceanii, zamkniętych przez przebiegłą myśl ludzką w basztach, nazywanych fachowo wieżami ciśnień” – wspomni wiele lat później Jerzy Braun.

A tymczasem na mieście o Białym Domu opowiada się niestworzone historie. Plotkuje się zwłaszcza o witrażach i „feerycznych mirażach, które ten gmach kryje”. Wytyka się inżynierowi Ursiniemu, że zamiast planowanych w budżecie 60 tysięcy koron, wydał na dom 190 tysięcy.

Zniszczony dom na tarnowskiej Terlikówce, 1915, z arch. Muzeum Okręgowego w Tarnowie



Bogusław Żołnierz-rosyjski, zdjęcie wykonane w atelier Mroczkowskiego w Tarnowie, 1914/1915, z arch. Muzeum Okręgowego w Tarnowie



Inżynier dementuje plotki. Tłumaczy: że budynek ma cztery fasady i dwa piętra, że stoi w trudnym terenie, wreszcie, że sam zastępca burmistrza zlecił, by przyczynił się do ozdobienia miasta. Że słynne witraże to nie żaden Wyspiański, tylko kilka kolorowych szkiełek. „Zarzut, jakoby dom ten był luksusowo urządzony, nie ma najmniejszej racji – mówi na posiedzeniu rady miejskiej. – Bo chyba nie można nazwać luksusem, jeżeli przy każdym mieszkaniu urządzono łazienkę, której ściany do wysokości 1,5 m wyłożono kafelkami”. A atlanty? Atlanty kosztowały zaledwie 800 koron!

Takie zgrzyzoty (oraz tworzony wraz z wicedyrektorem Leuchterem supernowoczesny „Projekt kanalizacji miasta Tarnowa z 41 tabelami i 6 tablicami”) dręczą nocami w sypialni na drugim piętrze inżyniera Ursiniego, w czasie gdy do Tarnowa nieubłaganie zbliża się wojna. Na dodatek jego werkmistrz, Stanisław Grabowski, właśnie wylądował w austriackich koszarach.

Na szczęście nie zabawi w nich długo. Staraniem inżyniera nigdy nie trafi na front. Po trzech miesiącach zostanie zwolniony jako niezastąpiony fachowiec, niezbędny dla prawidłowego działania tarnowskiego wodociągu.

Choć nikt nie może tego jeszcze wówczas przewidzieć, będzie się nim szczęśliwie zajmował przez następne 36 lat. A w wolnych chwilach będzie siadał w ulubionym fotelu z książką.

PRESENT PERFECT

Ostrzał rozpoczyna się 14 stycznia 1915 roku. Na wzgórzach wokół Tarnowa rozkłada się austriacka artyleria. W Bogumiłowicach instaluje się potwór – haubica kalibru 42 cm, apokaliptyczna bestia, która zionie ogniem na 40 metrów. Jej 800-kilogramowe pociski szynują wyżej niż jakiekolwiek wcześniej, a kiedy spadają, sprawiają, że dwupiętrowy dom zmienia się w kupę cegieł...

Ślusarz Lenczewski poszukuje odłamków tych pocisków i szlifuje z nich przyciski do papieru, rzeźbi lichtarze, kałamarze i zapalniczki. Idą jak woda z wodociągu. Każdy chce mieć piękną pamiątkę.

Tego, że Tarnów znajdzie się na linii ognia, nie spodziewał się nikt. Wydawało się to niemożliwe. Leżał przecież między tak potężnymi twierdzami jak Kraków i Przemyśl...

10 listopada 1914 roku gruchnęła wieść, że Moskale zaraz tu będą. Kto mógł – uciekał. Cena furmanki skoczyła nagle do 150 koron. Nowy dworzec (drugi po Lwowie najbardziej monumentalny dworzec Galicji!) nie mógł pomieścić tłumu cisnącego się do ostatnich dwóch pociągów. O godzinie 19 na ciemne wyludnione ulice „na małych koniach, w wielkich kudłatych czapach, z długą lancą u boku tryumfalnie a bojaźliwie wkroczyli Czerkiesi”.

Zostali w Tarnowie sześć miesięcy. Przez cały ten czas burmistrz Tadeusz Tertil nie opuścił miasta. Musiałby porzucić nie tylko mieszkańców, ale i elektrownię, gazownię, wielki dworzec, tramwaj oraz, oczywiście, wodociągi. A przecież nie zostawia się własnych dzieci.

– Siła miasta polega na jego spokojnej pracy i na przeświadczeniu, że praca ta, osoby i mienie obywateli będą uszanowane – oznajmił po francusku przejeżdżającemu przez Tarnów generałowi Radko Dymitriewowi. I rzeczywiście, starał się zapewnić spokój. Nad bezpieczeństwem 35 tysięcy pozostałych w mieście mieszkańców czuwała straż obywatelska (uzbrojona w grube laski lub nożyki w kieszeniach). Działała elektrownia (póki starczyło węgla). Działały, z przerwami, wodociągi. W hali pomp na Świerczkowie, wśród gwizdu i huku austriackich pocisków, z poświęceniem czuwał mechanik Techmański.

Na Tarnów spadło – według wyliczeń Franciszka Szewczyka – dziesięć wagonów żelaza, w tym 48 pocisków z dział największego kalibru: 30,5 i 42 cm. Uderzały dość precyzyjnie w lewe skrzydło szkoły realnej, dworzec, zajęty przez Rosjan klasztor Sercanek, kilka domów na Terlikówce i ulicy Chyszowskiej.

Rosjanie odeszli 6 maja 1915 roku. Tego samego dnia do Tarnowa wkroczyli strzelcy tyrolscy. Tadeusz Tertil z zadumą obserwował ich wjazd. Nie domyślał się, że już za trzy lata rada miejska pod jego przewodnictwem przyjmie uchwałę podporządkowującą Tarnów rządowi w Warszawie. Przez myśl nie przeszła mu jeszcze niepodległa Polska. Nie wiedział, że pięć lat później inżynier Zygmunt Ursini umrze

Zrujnowana szkoła im.
J. Słowackiego, Tarnów,
1915, z arch. Muzeum
Okręgowego w Tarnowie



bezpomnie na zapalenie płuc, nie realizując swojego nowoczesnego projektu kanalizacji, ani że werkmistrz Stanisław Grabowski po 36 latach służby w wodociągach zachoruje na to samo i także odejdzie. Nie mógł też, oczywiście, wiedzieć, że sam za dziesięć lat schyli się po rozsypane drobne monety, pęknie mu woreczek żółciowy i umrze.

Ale na pewno myślał o przyszłości. Może zaczynał się już martwić, jak wyżywić i odbudować miasto, które tak kochał. A może po prostu cieszył się, że z wojny ocalały wszystkie jego dzieci: elektrownia, gazownia, wodociąg. Wiedział, że będą rosły. I że go przeżyją.

Wiele lat później wnuk Tadeusza Tertila, Roman, tłumacz angielskiego, porówna dziadka do czasu Present Perfect. To taki czas, w którym przeszłość dokonana wpływa na teraźniejszość.



Portret wielokrotny Jana Albina
Goetza-Okocimskiego, z Archiwum
Narodowego w Krakowie, AGO 424/126

ALBUM WOJENNO-RODZINNY, CZYLI PIĘĆ RAZY JAN ALBIN I INNE ZDJĘCIA PAŁAC GOETZÓW-OKOCIMSKICH W BRZESKU

Takiego ujęcia nie robi się przypadkiem. Wymaga starań. Trzeba odpowiednio zaaranżować atelier: ustawić lustra, dobrze oświetlenie, znaleźć punkt, w którym aparat pozostanie niewidoczny... Model musi stanąć lub usiąść w wyznaczonym miejscu. Spojrzeć tu lub tam. Spleść ręce. Zapozować.

Takie portrety pierwsi robią sobie ekscentrycy: futurysta Umberto Boccioni, abstrakcjonista Wacław Szpakowski, dadaista Marcel Duchamp. Około 1916 roku, w mundurze rosyjskim, przy złączonych lustrach fotografuje się pokłócony z ojcem ponury ochotnik do carskiej piechoty – Witkacy. Rzecz jest modna, odpowiednio zestawione zwierciadła można znaleźć nawet w wesołych miasteczkach.

Czemu baron Jan Albin Goetz-Okocimski, największy galicyjski potentat finansowy swoich czasów, właściciel imperium, polityk i filantrop, także fotografuje się w ten sposób?

To żart? Nakaz mody? Artystowska poza? Eksperyment optyczny? Przekaz (jaki?) dla pokoleń? Nie wiadomo. Nie ma żadnych dat, podpisów, wyjaśnień. Tylko odbitka w kopercie z burego papieru. Żaden z pięciu Janów Albinów ze zdjęcia nie patrzy nam w oczy. Ich wzrok gubi się gdzieś w nicości, w jakimś niewidzialnym jądrze. Całkiem jakby Jan Albin zapadał się w sobie.

JAN EWANGELISTA ZACHODZI DALEKO

Kiedy Jan Ewangelista Goetz – ojciec Jana Albina – właściciel dóbr i browaru w Okocimiu, z żoną i trojgiem dzieci fotografuje się w atelier Walerego Rzewuskiego, nie ma jeszcze tej białej brody, która na późniejszych zdjęciach nadaje mu szlachetnego rysu patriarchy. Musi być 1867 może 1868 rok – na arenie międzynarodowej właśnie pojawia się dualistyczna monarchia austro-węgierska, a Róża, najmłodsza córka Jana Ewangelisty, nie liczy więcej niż dwa-trzy lata. Jan Albin jest o rok starszy. Ich ojciec, Jan Ewangelista, ma pięćdziesiątkę i właśnie znajduje się w polowie drogi na szczyt.



Rodzina Goetzów-Okocimskich ok. 1867: Jan Ewangelista i Albina Katarzyna z Żišków z dziećmi, pracownia W. Rzewuskiego w Krakowie, z Archiwum Narodowego w Krakowie, AGO 424/83

W ciągu poprzednich dwudziestu kilku lat zaszedł bardzo daleko. Zaczynał jako prosty czeladnik piwowarski w rodzinnej Wirtembergii. Wyrób piwa był tradycją rodu Goetzów. Przodkowie Jana Ewangelisty, wolni rolnicy, już w XVII wieku prowadzili małe browary oraz gospody. Jan Ewangelista poszedł w ich ślady. Pieszko. Jako dziewiętnastoletni czeladnik wyruszył na wędrowkę przez Austrię, Szwajcarię i Niemcy. Zatrudniał się w browarach. W 1845 roku miał 30 lat, sześć tysięcy florenów i silną chęć usamodzielnienia się. W gazecie „Wiener Zeitung” niejaki Joseph Neumann z Okocimia ogłaszał właśnie, że poszukuje wspólnika z kapitałem. Wiosną Jan Ewangelista był już na miejscu. Dwa miesiące później ruszyła budowa browaru na 35 hektolitrów piwa miesięcznie.

Współpraca nie układała się. Neumann nie zgadzał się na inwestowanie zysków. Dopiero po jego śmierci, kiedy Jan Ewangelista odkupił od wdowy połowę udziałów, browar zaczął się rozwijać. Okocim zamienił się w plac budowy. Pod budynkiem browaru robotnicy wydrążyli piwnice na 26 600 hektolitrów piwa. Na powierzchni stanęły spichlerz, nowa warzelnia, bednarnia, smolarnia, lodownia, szpital dla pracowników... Z laboratorium chemicznym, własną bocznicą kolejową i jedną z pierwszych na świecie pneumatycznych słodowni do Okocimia wkroczyła nowoczesność. Pięć lat po śmierci Neumanna produkcja browaru wynosiła już 1200 hektolitrów piwa na miesiąc.

A Jan Ewangelista zakochał się. W fotografii. Zobaczył ją u przyjaciela w Grybowie. Ciemnowłosa kobieta pozowała na niej ze spokojem, powagą i bez kokieterii. Miała lekko obrzękłą szyję i duże dłonie, nazywała się Albina Katarzyna

Żiška i była szwagierką gospodarza, córką mleczarzy z Pragi. Wydawała się idealna na żonę dla solidnego, poważnego i nie-co nieśmiałego piwowara z Okocimia.

Ślub odbywał się w Pradze. Wkrótce pojawiają się dzieci.

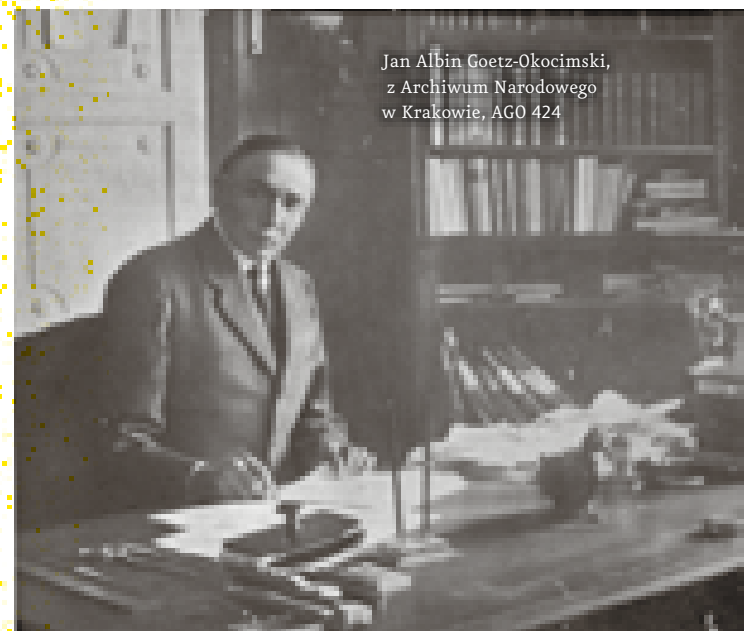
Jan z Wirtembergii i prażanka Albina wychowują je w duchu patriotycznym. – Jemy polski chleb, będziemy Polakami – mawia Jan Ewangelista, być może przy śniadaniu. Kiedy w 1881 roku cesarz Franciszek Józef nada mu tytuł szlachecki, poza snopkiem jęczmienia i gałązką chmielu w herbie umieści białego orła na czerwonym tle. Będzie chadzał i portretował się w stroju polskim.

Ale na to jest jeszcze czas. Najmłodsza wówczas córka Goetzów, Róża, ma może dwa-trzy lata. Albina zasiada w fotelu i czule bierze ją za rękę. Obok staje starsza córka, również Albina. Mały Jan Albin także szuka dłoni matki. Jednocześnie czuje na ramieniu ciepło, lecz ciężkie brzemie ręki ojca. Może już przeczuwa, że wszystko, co Jan Ewangelista osiągnął, spadnie na jego barki.

JAN ALBIN TWORZY IMPERIUM

Światło delikatnie rozśrebrza słuchawkę telefonu. Jan Albin odrywa wzrok od trzymanego w palcach dokumentu i w zamyśleniu spogląda w obiektyw aparatu. Może myśli o małym chłopcu z poprzedniej fotografii i ciężkiej ręce ojca na jego ramieniu. Może to rodzinne zdjęcie wisi gdzieś w nowym gabinecie...

Dziedzictwo ojca spadło na barki Jana Albina w 1885 roku. Właśnie kończył studia w Wyższej Szkole Rolniczej w Wiedniu,



Jan Albin Goetz-Okocimski, z Archiwum Narodowego w Krakowie, AGO 424



Od prawej: Zofia Albina, Jan Reginald, Elżbieta Róża, Maria Pia, Antoni Jan Goetz-Okocimscy, pracownia J. Sebalda w Krakowie, 1902, z Archiwum Narodowego w Krakowie, AGO 428/5

kiedy list Jana Ewangelisty odwołał go do domu. Ojciec miał postępującą arteriosklerozę. Zdecydował usunąć się w cień.

Jan Albin był gotowy. Pod jego rządami browar zaczął znów rosnąć i prosperować. Kilkakrotnie zwiększył ilość produkowanego piwa. W myśl zasady, by robić „najlepsze z najlepszego”, ściągą najwyższej jakości chmiel i jęczmień z Czech (wodę czerpie z Uszwicy). W 1908 roku uruchamia olbrzymi kompleks warzelniczy – w jednym kotle można uwarzyć 320 hektolitrow piwa. Piwnice zapełniają kadzie z nowoczesnego żelbetu; największa mieści 1000 hektolitrow piwa. W 800 dębowych beczkach może leżakować 62 tysiące hektolitrow piwa. W 1910 roku browar ma już maszynę parową, oświetlenie elektryczne i własną bocznice kolejową z 60 klimatyzowanymi wagonami, którymi Leżak, Marcowe, Exportowe, Porter oraz Świętojańskie jadą w świat. Piwo od Goetzów trafia nawet do Ameryki Południowej.

Sześciuset dwudziestu pracowników Goetza ma prawdopodobnie najlepszy pakiet socjalny w monarchii. Przy browarze działa szpitalik fabryczny, jedna z pierwszych w Galicji kasa chorych i fundusz emerytalny. Do domów robotników Jan Albin każe dociągnąć elektryczność i kanalizację. Funduje kościoły, szkoły i letni teatr. Zdolnym dzieciom pracowników zapewnia stypendia studenckie. Po studiach mogą (lecz nie muszą) zgłosić się do pracy w browarze.

Na początku XX wieku Jan Albin Goetz jest jednym z najbogatszych przedsiębiorców Małopolski. Ma kilka wytwórni

piwa, nieruchomości w Krakowie, a także poza nim. Jest szanowanym obywatelem, Polakiem patriotą i posiadaczem świetnie prosperującego przedsiębiorstwa. Nic dziwnego, że hrabia Artur Sumiński ze Słotwiny, powstaniec styczniowy i właściciel małego browarku, w 1889 roku oddał mu rękę córki Zofii Jadwigi.

JAN ALBIN BUDUJE DOM

Album rodzinny Goetzów zapełnia się fotografiami dzieci. W białych ubrankach i czarnych bucikach stoją według wieku i wzrostu: wysoka jak tyczka Zofia Albina, w przyszłości doktor filozofii, autorka pierwszych tłumaczeń św. Tomasza, wątłego zdrowia Jan Reginald, chudziutka Elżbieta Róża, Maria Pia i najmłodszy Antoni Jan. Ręce spletają w żywy łańcuch.

Nie mieszkają już w Starym Pałacu na terenie browaru. Jan Albin zdążył wybudować godniejszą siedzibę rodu Goetzów-Okocimskich. Nowy pałac, dwuskrzydłowy gmach, stojący w ponad 40-hektarowym parku, ma więcej niż 100 pomieszczeń i 2790 metrów kwadratowych. Jest ogromny. Sam główny hall z imponującymi schodami ma 176 metrów kwadratowych powierzchni.

Projekt okucia drzwi pałacowych w Okocimiu autorstwa Leopolda Simonyego, Wiedeń 1909, z Archiwum Narodowego w Krakowie, AGO 153

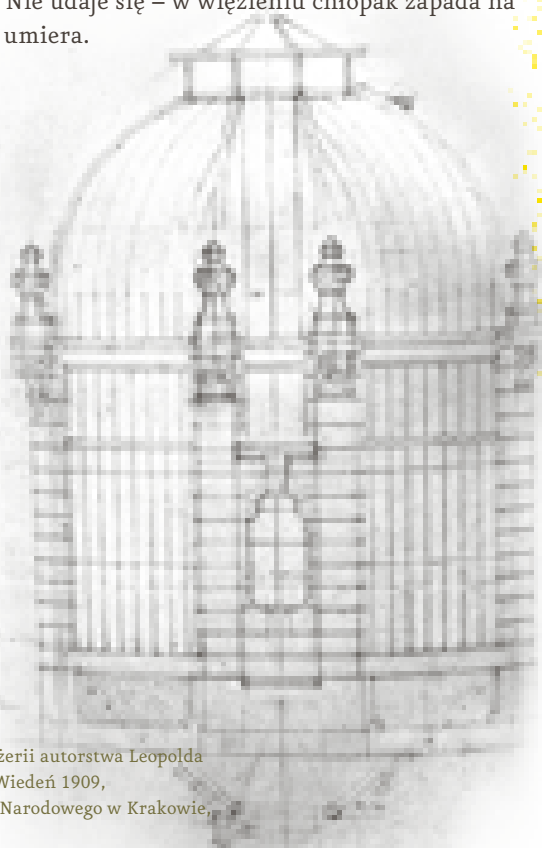
Hall pałacu w Okocimiu, lata 30. XX w., M. Rainska, Dwory Małopolski, Warszawa 2013



Budowa nowego pałacu zajęła Janowi Albinowi 13 lat. Pierwsze plany zlecił wiedeńcykom Ferdynandowi Fellnerowi i Hermanowi Helmerowi. Ich słynne Atelier Architektoniczne w modnym stylu neobaroku projektowało teatry, wille, zamki, pałace, fabryki i kamienice. Dla pana na Okocimiu projektanci obmyślili główny gmach i zachodni pawilon z kuchnią, pokojami służby oraz krytą kopułą prywatną kaplicą, w której Tadeusz Popiel, uczeń Matejki, namalował Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny.

Już ten pierwszy etap budowy jest na tyle wyraźną manifestacją bogactwa i potęgi, że grupka gimnazjalistów z Tarnowa napada na browar Goetzów. Tytułują się socjalistami. Domagają się od Jana Albina „podatku”. Ma oddać jedną trzecią majątku. Wywiązuje się zamieszanie, wypala pistolet, kula niegroźnie rani w skroń dyrektora browaru Tadeusza Narzymskiego. Policja łapie opętanych polityką uczniów. Prowodyr zostaje skazany na dwa lata więzienia.

Jan Albin nie uczestniczy w procesie. Nie wnosi oskarżenia. Przeciwnie: chce ufundować prowodyrowi stypendium naukowe. Nie udaje się – w więzieniu chłopak zapada na zdrowiu i umiera.



Projekt oranżerii autorstwa Leopolda Simonyego, Wiedeń 1909, z Archiwum Narodowego w Krakowie, AGO 154



Dziecięce zabawy w pałacowym ogrodzie, ok. 1905, z Archiwum Narodowego w Krakowie, AGO 428/134

Pałac w Okocimiu rośnie dalej. Tym razem pod okiem Leopolda Simonyego. Architekt, także wiedeńczyk, przystępuje do pracy już w 1908 roku. Dobudowuje wschodnie skrzydło z biblioteką i pokojami dla gości, oranżerią ze sztuczną grotą ze ścianami z wulkanicznego tufu oraz palmiarnią. Projektuje wnętrza: oszalałymi stiukami, posadzkami, kominkami, boazeriami, witrażami, balustradami, kratami oraz ukrytymi w ścianach nawiew ciepłego powietrza. Ściany zdobi kopiami dzieł Tycjana i Van Dycka oraz oryginałami Matejki, Wyspiańskiego, Kossaka, Malczewskiego...

Korytarze wypełniają poroża jeleni. Jan Albin jest zapalonym myśliwym. Ma wypchane niedźwiedzie, żubry, dziki. W dworskim parku, poza kordegardą, stajnią, powozownią, krytą ujeżdżalnią dla koni angielskiej rasy hackney (Jan ma jedyną ich hodowlę w Polsce), każe postawić bażanciarnię.

Tymczasem dzieci rosną. 7 lipca 1907 roku już dwunastoletni Toni robi swoje pierwsze zdjęcie: na małej, rozmażanej fotografii widać jamnika i kobietę trzymającą za uzdę konia. To jego matka czy któraś z sióstr? Nie wiadomo.

Wiadomo jednak, że to szczęśliwy czas. Klisze zatrzymały go na zawsze. Tłum radosnych gości wdzięcznie upozowanych na schodach. Podpis: wesele Lili (Albiny? Czy raczej Elżbiety?). Reginald, pierworodny Albina, niepewnie dzierży rakietę tenisową na korcie w parku. Jakież dzieci zjeżdżają po wąskiej pochylni na czymś, co wygląda jak deskorolka, choć przecież nie może nią być... Jan Albin, siedząc za biurkiem, podnosi wzrok znad wypełnianych papierów – poważny pan z siwym wąsem w pięknym gabinecie. W 1909 roku zostaje baronem. Za motto obiera sobie słowa „Pracą i Prawdą”. Jest posłem do Sejmu Krajowego Galicji i austriackiej Rady Państwa. Należy do krakowskich konserwatystów, wierzy w Polskę pod dziedzicznym berłem Habsburgów.

W 1912 i 1913 roku Okocim jest piątym największym browarem Austro-Węgier. Ale nad szczęśliwym światem zbierają się już czarne chmury.

RADKO DYMITRIEW ROZSTRZELIWUJE BROWAR

Jedna z pierwszych fotografii lotniczych ukazuje Galicję podczas pierwszej wojennej zimy: białe plamy pól, czarne kleksy lasów, rzędy topól jak zapalek, zagubione w tym wszystkim dobra Goetzów w Okocimiu. Oraz lotnisko. W zakolu Uszwicy, na polach przylegających do parku ślady startujących maszyn, kilka namiotów i maleńkie jak mrówki postacie. To pomocnicze lotnisko służące do łączności ze sztabem arcyksięcia Józefa Ferdynanda stacjonującym w okocimskim pałacu. Drugie, większe lotnisko mieści się w pobliskim Jasieniu Brzeskim. W tym samym czasie na świecie jest może 1500 latających maszyn. Te, które startują z brzeskich pasów startowych i na nich lądują, należą do armii austro-węgierskiej. To one kierują bombardowaniem Tarnowa przez apokaliptyczną bestię i przewożą pocztę do oblężonej przez Rosjan Twierdzy Przemyśl. Wojna zastała Okocim opuszczony.

Goetzowie schronili się przed nią w Wiedniu. 15 listopada 1914 roku do Brzeska wkraczają Rosjanie. Okocimski pałac zajmuje 150 carskich oficerów i generał Radko Dymitriew, który stąd prowadzi swoją ofensywę na Kraków. Najpierw wypowiada jednak wojnę piwu. Zakazuje picia. Oficerowie karnie podporządkowują się rozkazowi, grzeszne (i spragnione) ciała utrzymują w ryzach dzięki wojskowemu drylowi i nabożeństwom z ikonami, które popi odprawiają w pałacowym holu (z galerii, ku otusze, śpiewają im chóry). Gorzej jest z Kozakami. Już następnego ranka generał znajduje w okocimskiej leżakowni jednego z nich – martwego z upicia. Pięćdziesięciosześcioletni Dymitriew znany jest z gwałtownych



Dowództwo 59. Pułku Piechoty z trzymającym mapę płk. Eduardem von Alborim, wiosna 1915, z arch. K. Trzebieckiego

reakcji. Każe żołnierzom rozstrzelać browar. Kule dziurawią beczki i kadzie, 45 tysięcy hektolitrow piwa wycieka do kanalizacji, płynie do Uszwicy.

Podobno wiele osób rzuca się tego dnia pić prosto z rzeki.

Ofensywa na Kraków nie udaje się i gwałtowny generał musi opuścić pałac. Na pamiątkę zabiera sobie zapas siana i zboża, całą stadninę rasowych koni, tysiąc wagonów węgla i 52 wagonny słoju. U Goetzów rozgasa się tymczasem sztab 4. Armii Austro-Węgier.

Wśród wasatych żołnierzy jest łysy pułkownik Eduard Freiher von Albori, który od miesiąca jest dowódcą 59. Salzburskiego Pułku Piechoty. Pułkownik ma z sobą aparat i lubi się fotografować. Może pamiętać jeszcze Josefa Haslauera, „zapasowego rezerwistę”, który na zawsze został w lesie niedaleko Lubinki. Może sam wydał mu rozkaz do ataku.

TONI WYRUSZA NA WOJNĘ

Antoni Goetz-Okocimski, najmłodszy syn Jana Albina, wyrusza na wojnę 5 lutego 1916 roku. Tak przynajmniej głosi napis na tylnej stronie fotografii, którą każe sobie zrobić. Na kołnierzu munduru ma już wówczas trzy gwiazdki. Jest kapitanem. Do wojska zgłosił się wraz z bratem, lecz armii nie spodobał się słaby wzrost Jana Reginalda. Toni – konny artylerzysta – na wojnę wyrusza sam. Walczy między innymi pod Tereszkowicami, Chołoniowem, Jadwinówką i Tarnawką.

Późną wiosną 1915 roku Goetzowie są już z powrotem w Okocimiu. Jan Albin zostaje prezesem Koła Polskiego w wiedeńskiej Radzie Państwa. Kiedy w 1918 roku w Brześciu Litewskim za plecami Polaków Austria porozumiewa się z Niemcami, by oddać część Galicji nowo tworzącej się Ukrainie, reaguje ostro i natychmiast. – Nie wyrzekniemy się naszej ziemi ani naszego prawa do tworzenia niepodległego państwa, obejmującego wszystkie dzielnice Polski – grzmi w odezwie, choć na dywanik wezwie go za to sam cesarz Karol I, który po śmierci Franciszka Józefa w 1916 roku zasiadł na austriackim tronie.

Jan Albin już nie wierzy w Polskę pod dziedzicznym berłem Habsburgów. Razem z Tadeuszem Tertilem, demokratą z Tarnowa, działa w Polskiej Komisji Likwidacyjnej. Wspólnie rozcinają więzy łączące Galicję z upadającą monarchią. Podobno prawica chce, by kandydował na pierwszego prezydenta niepodległej Polski. Podobno odmawia. Może przeczuwa, że zbliżają się ciężkie czasy.

Toni znów idzie na wojnę. Na ochotnika zgłasza się do Wojska Polskiego. Będzie walczył z bolszewikami. Światowy kry-

zys uderza także w Galicję. Jan Albin stara się chronić tych, których ma wokół siebie. Za darmo rozdziela 100 morgów ziemi 23 inwalidom wojennym. Tworzy oddział, który ma dbać o aprowizację robotników browaru. Kupuje pięć karczm i przekształca je w szkoły. Łoży na odbudowę Wawelu – cegiełki, które nabywa, mają niskie numery 51 i 52.

W 1923 roku Jan Reginald, najstarszy syn Albina, szykowany na dziedzica imperium, pianista i prawnik o słabym wzroku, zaraża się zarazkiem „choroby mózgowej meningitis”. Umiera w ciągu trzech dni.

Dwa lata później Jan Albin sfotografuje się na koniu o imieniu Fidelix. „Mego chowu” – napisze na odwrocie zdjęcia. Fidelis to szesnastowieczny święty. Walczył z reformacją w Sigmaringen w Wirtembergii, skąd pochodzą Goetzwie.

Być może w tym samym czasie Jan Albin robi sobie pięciokrotne zdjęcie. Jeden z najpoważniejszych przedsiębiorców swojej epoki, liczący się polityk, baron i człowiek nieśmiały staje przed zsuniętymi lustrami, zaplata ręce, z powagą wbija wzrok w nicość.

Umiera w swym pokoju na piętrze pałacu 24 kwietnia 1931 roku, w dniu św. Fidelisa z Zygmaryny. Każe się pochować w stroju włościańskim, w prostej trumnie bez ozdób. W pogrzebie weźmie udział 10 tysięcy osób. Pracownicy browaru wykupią nekrolog w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”. Nazwą w nim Jana Albina „najlepszym Chlebobawcą, opiekunem wdów i sierot”. Za własne pieniądze postawią mu w Okocimiu pomnik.

TONI WALCZY JAK MOŻE

Bez Jana Albina nic nie jest już takie jak dawniej. Ciężar piwnego imperium spada na barki najmłodszego Toniego. Toni wie, że to Jan Reginald, a nie on, miał odziedziczyć browar. Robi jednak, co może. I robi to dobrze.

Wzorem ojca i dziadka wszystkich pracowników zna z imienia i nazwiska. Codziennie o godzinie 7 rano – tak jak oni – staje przy wysokim pulpicie w tzw. poczekalni Starego Pałacu i czeka na petentów. Nie ma tam portiera ani sekretarza, tylko on – właściciel firmy. Każdy może przyjść i osobiście mu się pożalić. Zachowało się całe archiwum tych próśb i żalów. Większość nosi dopisek „załatwiono”.

W czasie wielkiego kryzysu, kiedy zadłużenie browaru w ciągu jednej nocy rośnie o 80 procent, a bank domaga się natychmia-

stowej spłaty, nikogo nie zwalnia. Ogranicza tylko czas pracy.

– Jeśli chcemy być szczęśliwi – powtarza Toni – to wszyscy ludzie nas otaczający muszą też być szczęśliwi.

Być może to właśnie on zrobił zdjęcie, na którym pięciokrotnie Jan Albin wpatruje się w nicość...

W 1934 roku zamknął Nowy Pałac. Utrzymywanie go było zbyt kosztowne. Rodzina przeniosła się do Starego Pałacu, nowy otwierało się tylko latem, dla gości.

5 września 1939 roku Antoni Goetz wyjechał z Okocimia na zawsze. Przez Rumunię dostał się do Francji. Szkolił tam polskich artylerzystów. Zmarł w 1952 roku, po nawrocie tropikalnej żółtaczki, w Mombassie w Kenii jako właściciel herbaciarni „Pot luck”.

Z Okocimia nie zabrał zdjęć. Niemcy obrabowali pałac z dzieł sztuki i jelenich poroży. To, co zostało, znacjonalizowano po wojnie. Pałac przerobiono na liceum. Niszczał. W 2007 roku odkupili go spadkobiercy Goetzów. Od nich budynek wraz z parkiem przejęła prywatna firma. Będzie tu hotel i ekskluzywne spa z kąpielami w piwie.

Czy Janowi Albinowi, pięciokrotnie pomnożonemu, na zawsze tajemniczemu, zamkniętemu w burej kopercie w Archiwum Narodowym na Wawelu, podobałby się taki koncept?

Antoni Jan Goetz-Okocimski w mundurze, przed wyjazdem na front, 5 lutego 1916, z Archiwum Narodowego w Krakowie, AGO 423/56

Jan Albin na koniu Fidelix, 1919, z Archiwum Narodowego w Krakowie, AGO 424/124

Pałac w Okocimiu, 29 czerwca 1912, W.J. Gargul, z Archiwum Narodowego w Krakowie, AGO 484/22





Pokój jadalny w apartamentach Prezydenta Miasta Krakowa w pałacu Larischa, projekt Ludwika Wojtyczki, między 1909 a 1911, za: I. Kęder, W. Komorowski, *Ikonaografia placu Wszystkich Świętych oraz ulic Franciszkańskiej, Poselskiej, Senackiej i Kanoniczej w Krakowie*, Kraków 2007

SZEROKI WIDNOKRĄG PAŁAC LARISCHA W KRAKOWIE

W 1906 roku Towarzystwo Polska Sztuka Stosowana ogłasza wewnętrzny konkurs. Jego uczestnicy mają „odpowiedzieć na pytanie, jak wyobrażają sobie reprezentacyjną siedzibę wysokiego urzędnika”.

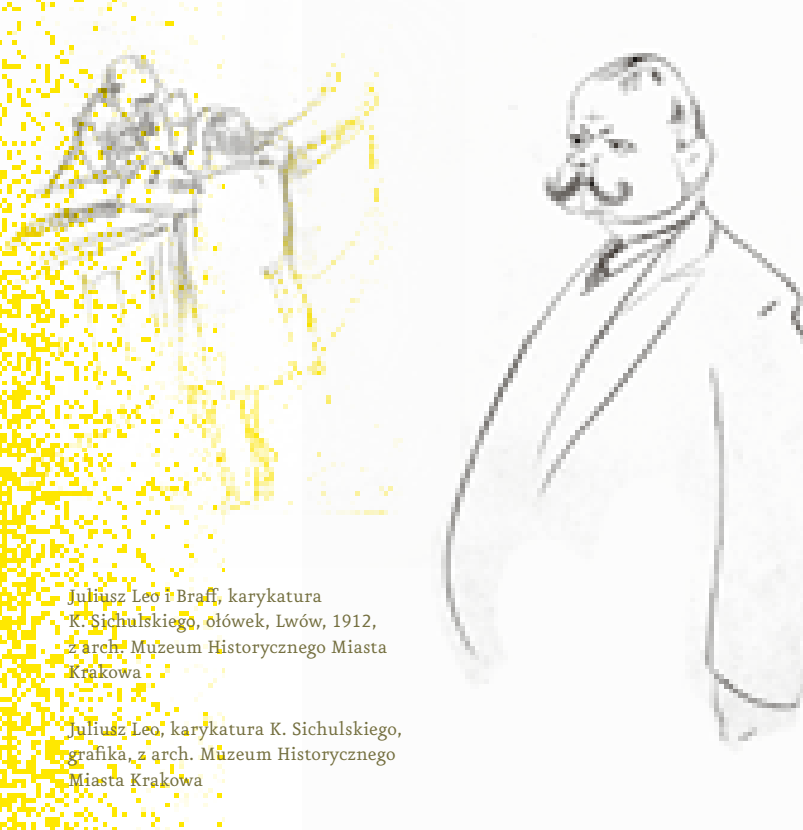
Najlepiej rezonuje wyobraźnia Ludwika Wojtyczki. Wojtyczko zdobywa pierwszą nagrodę, a jego projekt – wraz z lekko ekspresjonistycznym, zdobnym kilimami hallem autorstwa Józefa Czajkowskiego – zostaje zrealizowany w zakupionym przez magistrat pałacu Larischa.

Być może, projektując, Wojtyczko myśli o przyszłym mieszkańcu apartamentów. Być może zastanawia się, jakie lustro najlepiej odbije „twarz przystojną, trochę rozlaną, wąs zawieszisty, w oczach zimny spokój i obojętność”. Może wyobraża sobie, jak ów człowiek w „szerokich męskich ruchach” wchodzi do jadalni, jak „z robionym szlacheckim rozmachem” sięga do zdobionego neobarokowymi detalami kredensu albo odsuwa oparte o pas drewnianych okładzin ściennych krzesło i zasiada pod głęboko rzeźbionymi kasetonami sufitu. Może oczyma duszy widzi, jak wyprowadzony z równowagi czerwienieje, jak załamuje mu się nerwowo głos i jak wali pięścią w jadalny stół? Może pragnie stworzyć wnętrze, które – za sprawą wciąż żywego ducha estetyki eklektyzmu – pomieści ten „umysł nowożytny o szerokim widnokręgu, wolny od zaściankowości”? Wnętrze godne zimnej krwi, ambicji, oddania, politycznego sprytu, odwagi, żelaznej konsekwencji i bezwzględności przyszłego użytkownika?

A może po prostu myśli o eleganckiej, wygodnej jadalni dla anonimowego urzędnika i nie zaprzęta sobie głowy tym, kto tak naprawdę będzie z niej korzystał.

Może wcale nie myśli o Juliuszu Leo.

Przemowa prezydenta Karola Rollego podczas uroczystości pogrzebowych wiceprezydenta Józefa Sarego przed krakowskim Magistratem, na drugim planie widoczny pałac Larischa, 1929, NAC



Juliusz Leo i Braff, karykatura K. Sichulskiego, ołówek, Lwów, 1912, z arch. Muzeum Historycznego Miasta Krakowa

Juliusz Leo, karykatura K. Sichulskiego, grafika, z arch. Muzeum Historycznego Miasta Krakowa

1.

Kiedy w 1906 roku Rada Miasta przegłosowała oddanie piętra pałacu Larischa na reprezentacyjne pokoje dla prezydenta miasta, rozpętało się piekło. Siedemnastu opozycyjnych radnych poszło na skargę aż do Wydziału Krajowego. Pod adresem Juliusza Lea posypały się gromy. Oskarżano go, że jest autokratą. Że uczynił z Rady Miasta prywatny folwark. Że wierny mu Klub Radziecki przegłosowuje wszystko, co prezydent przyniesie na obrady. Że rajcy utracili wpływ na kształt uchwał. Te gorzkie słowa, pełne gniewu i bezsilności, nie odniosły jednak najmniejszego skutku.

Pozycja Juliusza Lea była wówczas niezachwiana. Od początku było mu ciasno. Potrzebował szerokiej przestrzeni. Dla siebie. Dla miasta. W 1893 roku po raz pierwszy został radnym. Wystartował z list krakowskich konserwatystów. Młody, zaledwie trzydziestoczteroletni profesor skarbowości Uniwersytetu Jagiellońskiego był dla nich cennym nabytkiem. Wykształcony w Krakowie, Warszawie, Berlinie i Paryżu specjalista od podatków, ceł, akcyz oraz ekonomii politycznej błyskawicznie odnalazł się w polityce.

Zaczął od analiz miejskiego budżetu. Doszedł do wniosku, że Kraków znalazł się w ekonomicznym zastoju. Miasto potrzebowało inwestycji, lecz wpływy z podatków nie były

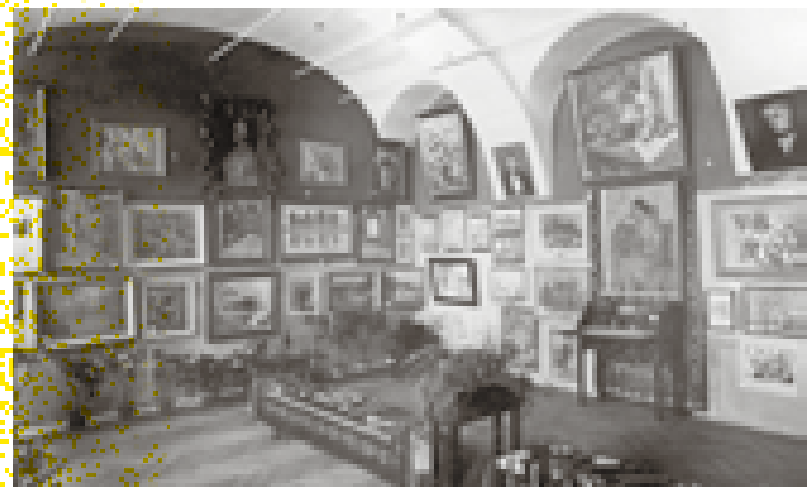
w stanie ich pokryć. Krakowianie byli na to zbyt biedni. Żeby miasto wyrwało się z marazmu, jego mieszkańcy musieli zacząć więcej zarabiać, rozwinąć przemysł, wzmocnić handel, przyciągnąć do siebie turystów...

Leo już wówczas śnił o „większym” Krakowie.

Postanowił zrealizować ten sen. Angażował się w budowę dróg spławnych (by Kraków nie dał się wykluczyć jako port). Przewodniczył komitetowi budowy elektrowni. Sam poprosił o powierzenie mu nadzoru nad niektórymi wydziałami magistratu. Przeprowadził w nich kontrole. Ujawnił, że urzędnicy przekładają jedynie papiery, ale nie robią nic w zleconych im sprawach.

W 1900 roku został wiceprezydentem. Niektórzy już wówczas uważali go za faktycznego rządcę miasta. Spokojny i ostrożny prezydent Friedlein czuł na karku gorący oddech rzutkiego zastępcy. Nie bez powodu. W kolejnych wyborach konserwatyści uzyskali większość w Radzie Miasta. Już w 1903 roku ich delegacja zaapelowała do dotychczasowego prezydenta o dymisję. Friedlein początkowo odmówił, lecz w końcu zrzekł się stanowiska. 11 lipca 1904 roku wybrano nowego prezydenta. Opozycja – na znak protestu – oddała puste kartki. Był to jednak tylko niewiele znaczący gest. Juliusz Leo otrzymał 47 głosów na 63. Po raz pierwszy został prezydentem Krakowa.

Pałac Larischa, 1930, NAC



Wystawa prac sekcji plastycznej
krakowskiego oddziału Polskiego
Zjednoczenia Kobiet Pracujących we
wnętrzach pałacu Larischa, 1937, NAC

Kraków był wówczas mały i zacofany. Leo czuł się prezydentem czegoś znacznie większego. „Skoro materialna rzeczywistość temu nie odpowiadała, postanowił zmienić rzeczywistość” – zapisał Tadeusz Boy Țeleński.

2.

Niedziela 17 kwietnia 1910 roku była wiosenna. „Dzionaek wstał śliczny, ozłocony jasnymi promieniami słońca; firmament, niezasłonięty ani jedną chmurą, zapowiadał dzień wesoły, ciepły, radosny”. „Nowości Ilustrowane” zamierzały poświęcić relacjom z tego dnia cały kolejny numer. Do Krakowa zjechały osobistości z całej Galicji, a redakcyjny fotograf Wojciech Lis dwoił się i troił, by wszystko uchwycić. Szczególnie zależało mu na tym, by sfotografować Juliusza Lea w chwili, gdy na balkonie pałacu Larischa ogłosi powstanie Wielkiego Krakowa.

To bardzo piękny balkon i bardzo ładny pałac. Jego historia sięga pierwszej połowy XVIII wieku. Wojewoda bracki Michał Jordan kupił wówczas trzy średniowieczne kamienice (dwie stały przy ulicy Brackiej, jedna przy dzisiejszym placu Wszystkich Świętych) i wynajął architekta Franciszka Placidiego, by połączył je w dwupiętrowy, barokowy pałac. Potem budowla przechodziła z rąk do rąk. W 1806 roku trafiła do architekta Szczepana Humberta. Humbert przebudował pałac w stylu neoklasycystycznym i znów go sprzedał. W 1833 roku właścicielem gmachu został baron Karol Larisch, pan na Osie-

Przedstawiciele władz miasta Krakowa zwiedzają wystawę, drugi od lewej Juliusz Leo, na zdjęciu widoczni m.in. Józef Czajkowski i Teodor Axentowicz, fot. J. Kuczyński i A. Gürtler, między 1907 a 1911, z arch. Muzeum Historycznego Miasta Krakowa



ku. W młodości żołnierz (został podpułkownikiem w wieku zaledwie 19 lat) i awanturnik, wówczas ustatkowany mąż, ojciec i producent jedwabiu. Prawdopodobnie nie zamieszkał w nim na stałe. Pomieszczenia wynajmował. Po wielkim pożarze w 1850 roku odbudował zniszczone budynki. Przy pomocy architekta Pawła Barańskiego dołączył do nich jeszcze dwie kamienice, stojące przy placu Wszystkich Świętych. Kiedy zmarł w 1869 roku, gmach przejęły dzieci. Później pałac znów przechodził z rąk do rąk. Należał między innymi do Romana Michałowskiego i hrabiny Mańkowskiej. To ona w 1904 roku sprzedała go miastu. Władze Krakowa wynajmowały pomieszczenia w pałacu już od 1803 roku. Działo tu Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych i seminarium nauczycielskie. Na pierwszym piętrze mieściła się szkoła, na drugim – bank hipoteczny, na poddaszu mieszkała pracza... Do szkoły w pałacu Larischa chodzili między innymi Józef Mehoffer i Stanisław Wyspiański. Do drugiej klasy poszedł tam także Tadeusz Boy-Żeleński. Nie mógł pojąć, że to jedyna szkoła w mieście, która nie ma świętego za patrona. Z dziecięcą naiwnością mówił rodzinie, że uczy się u świętego Larysza.

To właśnie tu, na drugim piętrze umieszczono reprezentacyjne pokoje prezydenta Juliusza Lea. Wojciech Lis, etatowy fotograf „Nowości Ilustrowanych”, rozstawił swój sprzęt fotograficzny tak, by mieć widok na balkon, i czekał na dobry moment.

3.

Kiedy Leo po raz pierwszy został prezydentem, Kraków miał niecałe sześć kilometrów kwadratowych powierzchni. Był mniejszy od Nowego Sącza, Przemyśla, Stryja i Kołomyi, nieznacznie tylko przerastał sąsiednie Podgórze. Mieszkało w nim za to aż 91 323 osób, w tym 6000 żołnierzy. Czyniło go to najgęściej zamieszkanym miastem Austro-Węgier. Na dodatek Kraków był twierdzą, a pierwszy pierścień umocnień znajdował się już kilometr od Rynku. W strefie fortów wolno było budować tylko pod warunkiem, że w razie zagrożenia wojną właściciel na własny koszt zburzy swój dom (nazywano to rewersem demolacyjnym). Obiekty twierdzy zajmowały aż 11 procent powierzchni miasta.

W tych warunkach miasto nie mogło się rozwijać. Nie było miejsca nie tylko na parki, ale nawet na nowe kamienice, targowiska czy fabryki. Czynnikiem za trzypokojowe mieszkanie w Krakowie w 1910 roku był dwukrotnie wyższy niż w Paryżu. Tymczasem gminy, które otaczały miasto – jak Zwierzyniec, Dębniki, Prądnik Czerwony czy Grzegórzki – rozrastały się. Nie obowiązywały ich twarde miejskie uregulowania.

Juliusz Leo wiedział, że miasto musi te gminy wchłonąć. Pertraktacje były długie i ciężkie. Leo prowadził je od 1902 roku. W tym czasie radykalnie zmienił obóz polityczny (przeszedł do demokratów – z czasem formację, którą współtworzył, zaczęto nazywać leokracją) i został posłem do Rady Państwa. Przez osiem lat negocjował z gminami, wojskiem, władzami państwowymi. Zmagał się z krytyką. Socjalistom musiał udowodniać, że wcale nie „kołysze nieudolnej burżuazji muzy-



Uroczystość złożenia przysięgi przez żołnierzy Legionów Polskich, przedmowa prezydenta Krakowa Juliusza Lea, 4 września 1914, z arch. Muzeum Historycznego Miasta Krakowa

ką przyszłości”; opinii publicznej – że nie wciąga Krakowa w „eksperyment, który obciąży miasto w szalony sposób”.

17 kwietnia 1910 roku, kiedy wyszedł na balkon w pałacu Larischa, mógł czuć się dumny. Udało mu się odkupić od władz twierdzy wał forteczny, zlikwidować biegnące nim tory kolei, zrównać go z ziemią i zaplanować na jego miejscu szerokie na 52 metry Aleje Trzech Wieszczów. Udało mu się nabyć zwalniające przez wojsko grunty pofortyfikacyjne (Austriacy przesuwali linię fortów na zachód) i wyburzyć stojące na nich obwarowania. Przekonał 13 gmin (prócz Płaszowa i Podgórze) do połączenia się z Krakowem i uzyskał dla tej uchwały sankcję cesarską. 17 kwietnia 1910 roku Juliusz Leo mógł wreszcie stanąć na balkonie pałacu Larischa, by ogłosić powstanie Wielkiego Krakowa.

– Stworzymy wielkie miasto polskie, które będzie miało świetne warunki przyszłości – mówił, kiedy Wojciech Lis z „Nowości Ilustrowanych”, jeden z pierwszych polskich fotoreporterów, kierował w jego stronę obiektyw, by w błysku magnezji uchwycić moment, w którym mały, gesty, ściśnięty Kraków wybuchnie, gwałtownie się rozszerzając.

To, co ponoć stało się potem, najlepiej opisali Witold Noskowski i Tadeusz Boy Żeleński. Magnezja (a wraz z nią Kraków) wybuchła, przysło szkło z uszkodzonych witraży u Franciszkanów, Leo raniony odłamkami cofnął się w głąb mieszkania... „Błysło, hukło i trzasło, szyby przysły jak masło; tłum się zwałił na ziemię, Lej się złapał za ciemność. I wyleciał zza bramy franciszkański braciszek: «A łajdaki, a chamy. Salomea, Franciszek!... »”.

A przynajmniej tak rymował Zielony Balonik. Bo w „Nowościach Ilustrowanych” takiego zdjęcia nie ma.

4.

Leo nie spoczął na laurach. Chyba nie potrafił. Miał jeszcze tyle do zrobienia... Ktoś musiał rozwijać w Krakowie sieć tramwajową. Ktoś musiał doprowadzić do przyłączenia Płaszowa i dumnego Podgórze. Trzeba było zbudować trzeci most przez Wisłę, nowy dworzec kolejowy i szpital w Kobierzynie. Trzeba było wesprzeć towarzystwa naukowe (w tym Towarzystwo Lekarskie) ziemią, na której mogły postawić swoje siedziby, i znaleźć gmach dla kolekcji Adriana Baranieckiego. Trzeba było nabyć Las Wolski, by po wieczne czasy służył ku rozrywce krakowian, i wykupić Wawel z rąk Austriaków... Ktoś musiał, zgodnie ze słowami Boya, dać temu miastu „ramę dla przyszłego rozwoju na lat sto”.

Na Juliusza Lea czekało wiele pracy, wiele zaszczytów, wiele intryg.



Wizyta króla Bawarii Ludwika III na Wawelu, Juliusz Leo widoczny w głównej grupie w cylindrze; Ludwik III Wittelsbach, ostatni król Bawarii, pośrodku głównej grupy, w mundurze; Julian Nowak w głównej grupie pierwszy z prawej, w cylindrze, fot. T. Jabłoński, z arch. Muzeum Historycznego Miasta Krakowa

W 1911 roku został prezesem Koła Polskiego w Wiedniu. Zastąpił na tym stanowisku Władysława Długosza. Liczył na tekę ministra skarbu. Choć obowiązki (i nadzieje) coraz częściej zatrzymywały go w Wiedniu, nie potrafił zrzec się – drugiej już – kadencji na stanowisku prezydenta Krakowa.

Rzeczywistość tymczasem znacząco się skomplikowała. 28 lipca 1914 roku Austria wypowiedziała wojnę Serbii. Cztery dni później Leo zwołał posiedzenie Rady Miasta.

– Obowiązkiem Galicji jest stanąć w szeregu ze wszystkimi ludami Austrii, bronić całości państwa i monarchii, a zarazem najdroższych nam dóbr narodowych, praw języka ojczystego i swobód – mówił.

Po wybuchu wojny na Lea spadł obowiązek rozwiązywania trudnej kwestii polskich sił zbrojnych. Udało mu się wyjednać zgodę na powołanie Legionów. 16 sierpnia uformował Naczelny Komitet Narodowy i stanął na jego czele.

8 listopada popełnił błąd. Kraków nigdy nie wybaczył mu tego błędu.

5.

Nie wiadomo, jak 9 listopada 1914 roku wyglądały reprezentacyjne pokoje prezydenta w pałacu Larischa. Czy panował w nich nieład po pośpiesznym pakowaniu? A może wszystko starannie osłonięto? Nie ważne. Najważniejsze, że dzień wcześniej, ósmego, w obawie przed zbliżającą się do miasta armią rosyjską, Juliusz Leo wraz z rodziną i członkami Naczelnego Komitetu Narodowego ewakuował się do Wiednia. Wyjechali także wiceprezydenci – Sare i Szarski. Miasto niespodziewanie zostało bez zarządu.

Tego, co stało się potem, nie spodziewał się nikt. Austriacki namiestnik zdecydował rozwiązać Radę Miasta. Na jej miejsce ustanowił komisarza rządowego. Został nim profesor Julian Nowak. Kraków, niespodziewanie, stracił możliwość samostanowienia.

Cios był ogromny. Na nieobecnego prezydenta posypały się gromy. Konserwatysta Jaworski, stary wróg, orzekł, że to, co zaszło, to wyraz niechęci austro-węgierskich władz do prezydenta. Że byłoby lepiej, gdyby Leo podał się do dymisji. Ale Leo nie potrafił odejść ze stanowiska. Miotał się. Ciężko zachorował. Wydawało się, że nie podniesie się z depresji.

Podniósł się jednak. Wyzdrowiał. Rezygnował z szefowania Naczelnemu Komitetowi Narodowemu. Rozpoczął energiczne starania o restytucję samorządu w Krakowie. Interweniował u premiera i ministrów.

21 listopada wrócił do Krakowa z kopią pisma przywracającego go na urząd prezydenta. Było za późno. Powitały go drzwi i niechęć. Misternie budowana sieć zależności, układów, kompromisów i przysług leżała w gruzach. Choć w styczniu 1915 roku Leo zdobył się nawet na rezygnację z kierowania Kołem Polskim, by w zupełności poświęcić się pracy dla Krakowa, urażone, zmęczone wojną miasto nie umiało już mu wybaczyć.

6.

Nie ma nic bardziej druzgoczącego dla budżetu niż wojna. Dochody Krakowa spadały na łeb na szyję. Udało się zebrać zaledwie czwartą część zaplanowanych przychodów. Pierwszego roku deficyt wynosił 1,5 mln koron. Następnego – już 2,5 mln. Do rubryki „koszty” doszły nagłe i niespodziewane wydatki: na kwaterunek wojska, na zapomogi, na zapobieganie epidemiom, na ewakuację mieszkańców... Rosły długi miasta. Jakby tego było mało, Leo postanowił przeznaczyć milion koron na Legiony Polskie – choć równocześnie Kraków zaciągał dwumilionową pożyczkę i wprowadził nadzwyczajne podatki wojenne.

Obwieszczenie Magistratu
z 7 listopada 1914 r., NAC

OBWIESZCZENIE.

C. i k. Komenda twierdzy
zawiadamia Magistrat,
że wobec zbliżającego
się niebezpieczeństwa
zamknięcia twierdzy,

bezwzględnie

mają opuścić Kraków
ci wszyscy, których we-
zwania do tego c. i k. Ko-
menda twierdzy obwie-
szczeniem swem z dnia
wczorajszego.

Obchody proklamacji
Królestwa Polskiego na
pl. Wszystkich Świętych,
w tle pałac Larischa,
8 listopada 1916, z arch.
Muzeum Historycznego
Miasta Krakowa



Obchody proklamacji Królestwa Polskiego na pl. Wszystkich Świętych, w tle pałac Larischa, 8 listopada 1916, z arch. Muzeum Historycznego Miasta Krakowa

Ale Leo walczył o miasto jak lew. Powołał Straż Ochrony Dzieł Sztuki i Komitet Ochrony Mieszkań Opuszczonych. Bronił mieszkańców przed kolejną, trzecią już ewakuacją. Przyrzekł władzom wojskowym, że założy gminne magazyny żywności, a każdy obywatel zostanie zobowiązany do przedstawienia kwoty wystarczającej na półroczne wyżywienie. Udało mu się uratować 100 tysięcy ludzi przed przymusową przeprowadzką z twierdzy. Dbał o aprowizację. Wykupywał żywność od spekulantów, by sprzedawać ją po niższych cenach. Miasto kupiło nawet własne krowy; liczące początkowo 144 sztuki

Prezydent Juliusz Leo w swoim gabinecie, z arch. Muzeum Historycznego Miasta Krakowa



stało ulokowane w opuszczonych przez legionistów kwaterach w Oleandrach, wypasano je w zamkniętych parkach Jordana i Krakowskim. Niestety, w marcu 1915 roku pawilony Oleandrów spłonęły. Wraz z nimi spaliło się 40 krow.

W lipcu 1915 roku Juliusz Leo po raz trzeci został prezydentem miasta. Nie miał kontrkandydata. Uzyskał 86 na 88 głosów.

Pierwszą decyzją, jaką podjął, było coś, co Klemens Bąkowski opisał jako „moralne samobójstwo”. Leo zażądał potwierdzenia przyznania mu honorowej emerytury i podniesienia pensji z 18 na 22 tys. koron. Nie wiadomo, czemu to zrobił. Czy znów poczuł się niepokonany? A może był to zwykły strach o żonę, piątkę dzieci i swoje nadciśnienie? Kraków nie szukał przyczyn. Nie ukrywał niesmaku.

Sytuacja w mieście się pogorszyła. Panował głód, mnożyły się protesty. W Wiedniu trwały wybory prezesa Koła Polskiego. Sieć wzajemnych zobowiązań i przysług, ten polityczny labirynt, w którym dotąd Leo czuł się jak ryba w wodzie, nagle zaczął go przerastać. 22 września miał atak serca. Zaraz potem zbuntowały się nerki. Juliusz Leo poprosił o dwa miesiące urlopu.

Zmarł pięć miesięcy później, wieczorem 21 lutego. Pogrzeb zgromadził tłumy. Nowy prezes Koła Polskiego – Jan Goetz-Okocimski – przysłał z Wiednia liczną delegację oraz tysiąc koron datku na wdowy po legionistach.

Kondukt pogrzebowy odprowadził Juliusza Lea spod pałacu Larischa na cmentarz Rakowicki. W 1926 roku przeniesiono go do grobowca, który ufundowało miasto.

Kraków po raz drugi podarował Juliuszowi Leowi mieszkanie. Tym razem bez skandalu – i na wieczność.





Dwór Dąbrowskich, lata 20.–30. XX w.,
pocztówka z arch. P. Nosala

MOMENTY DWÓR DĄBROWSKICH W MICHAŁOWICACH

„Są w życiu momenty
ważniejsze niż samo życie”
Józef Piłsudski

To był nadzwyczaj symboliczny widok, w sam raz na świetne ujęcie – polscy żołnierze obalają słupy graniczne dzielące zabór austriacki od rosyjskiego. W jednym momencie trzaskiem migawki można było zamknąć w kadrze lata niewoli, walkę i zwycięstwo, zmartwychwstanie kraju. Bez takiej fotografii nie obyłyby się żaden podręcznik do historii. Ale czy taka fotografia kiedykolwiek powstała?



Pierwszy patrol strzelecki – Siódemka
Beliny przed dworem w Goszycach
4 sierpnia 1914, ze zbiorów
K. Głuchowskiego, Wikipedia

Czy w pośpiesznie spakowanych plecakach, obok tomików Staffa i Wyspiańskiego, zmieścił się jakiś aparat? Zrobiono przecież tyle innych zdjęć. Żołnierze maszerują na nich, walczą, jedzą, pomagają orać, odbierają odznaczenia, słuchają mszy albo grają w karty. Jest zdjęcie, na którym zgromadzeni w Oleandrach (jeszcze) strzelcy pozują z Komendantem. Jest fotografia straceńców z pierwszego patrolu „Beliny” (sądząc po minach, już po kieliszku wiśniaku u Hawełki). Jest wkroczenie (w chmurze pyłu do kolan) Kadrowki do Kielc 12 sierpnia. Gdzie, na jakim strychu, w jakim zakurzonym archiwum, wśród jakich popiołów kryje się zdjęcie zrobione w tym symbolicznym momencie, kiedy 6 sierpnia 1914 roku o godzinie 9.45 w Michałowicach żołnierze I Kadrowej przewracają i wdeptują w pył graniczne słupy? Czy będzie nam jeszcze dane obejrzeć ten historyczny moment?

Z PAMIĘTNIKA ALBO DZIENNIKA TERESY DĄBROWSKIEJ

Urodziłam się 25 lipca 1867 roku w Pruszczyźnie w guberni Płockiej. Wieś ta należała do moich rodziców. Jestem najstarszą z rodzeństwa. Z pierwszych lat mojego dzieciństwa nic ważniejszego nie pamiętam. Pamiętam tylko, że gdy się dowiedziałam, że się mamy przenieść, nie mogłam się doczekać tej chwili.

Miałam siedem lat, gdyśmy się przenieśli do Michałowic pod Krakowem. W nowej naszej siedzibie urodziły się dwie siostrzyczki Zosia i Marylcia. Z domu naszego słychać ciągle hałas, bo szosa jest niedaleko prowadząca z Krakowa do Warszawy. Trudno byłoby mi się już przyzwyczaić do spokoju, jaki panuje w innych wioskach, wolę taki hałas.

Z młodszymi dziećmi, ze Stefanem, Helutą, Tadzkiem i Stasiem, a czasem i Zosią, bawimy się w papierowe państwo, choć ja się trochę tego wstydzę, bo już jestem za stara. Szesnasty rok to nie fraszka. Jestem już porządnie stara, ale nie tak mądra.

ZBIÓRKA

Oleńdry to (według niektórych) kępy nadrzeczne, oleandry – trujące krzewy. Jedno z tych słów daje nazwę teatrówi letniemu, który w 1912 roku staje na Błoniach, na terenach Wystawy Architektury i Wnętrz w Otoczeniu Ogrodowym. Ale 3 sierpnia 1914 roku plac przed teatrem wypełnia innego rodzaju tłum. To członkowie związków i drużyn strzeleckich, których – w obliczu zbliżającej się wojny Austrii z Rosją – wezwał do Krakowa Józef Piłsudski. Stoją naprzeciw siebie: strzelcy Komendanta i drużyniacy Stanisława Burhardta-Buckackiego, a oficerowie wywołują numery wyznaczonych do nowej jednostki.

Bolesław Długoszowski „Wieniawa” ma 33 lata i numer 45. „Podobnie jak moi towarzysze, nie bardzo zdawałem sobie sprawę, o co idzie w formowaniu nowej kompanii. [...] Stojącego w szeregu z bronią u nogi paliła ochota i szarpał lęk i niepewność”. Kiedy słyszy swój numer, niemal krzyczy z ra-

Zosia i Maria Dąbrowskie, za: W. Baran,
Zarys dziejów Michałowic, 1991

Dwór w Michałowicach, ok. 1900,
z arch. rodziny Lórenzów





Oddział Strzelców
w krakowskich
Oleandrach,
sierpień 1914, NAC

dości. „Wyskoczyłem jak porwany trąbą powietrzną, w trzech susach doskoczyłem do nowego zastępu”.

Wybrańców jest 137. Piłsudski każe im wymienić się odznakami. – Odtąd nie ma ani strzelców, ani drużyniaków. Wszyscy jesteście żołnierzami polskimi – mówi.

Na placu apelowym przed dawnym teatrem ogrodowym rodzi się I Kompania Kadrowa.

Z PAMIĘTNIKA ALBO DZIENNIKA TERESY DĄBROWSKIEJ

Lubię w dżdżyste jesienne dni o zmierzchu spacerować w parowie koło naszego domu. Wyobrażam sobie wtedy, że spotkam czarownice albo że sama jestem jedną z nich...

Tyle mam pragnień, życzeń, marzeń, a przeważnie jakichś nieokreślonych, dziwnych, wyrywają się z mojej piersi jak ptak z klatki, aby pobujać swobodnie, a nie wiem, czego pragnę. Dziwną jestem! Nie taką, jak inni ludzie. Co ze mnie będzie... A wszystkie moje afekta lub nienawiści takie namiętne, jak kocham to ogień, ale tak po swojemu, jak nienawidzę to całą istotą moją!

Od jakiegoś czasu dopiero bardzo pokochałam Polskę. Gdy na scenie w teatrze zobaczyłam Kościuszkę, łzy stanęły mi w oczach, wstydziłam się ich i bałam się, żeby kto nie zobaczył.

DWA DWORY DĄBROWSKICH

Tadeusz Dąbrowski nie lubi rosołu, rękawiczek i nadmiaru żartów. Dla swojej córki Teresy jest wzorem mężczyzny. Nie wiele więcej o nim wiadomo. Nie wiadomo na przykład, co sprowadza go z Pruszczyzna do Michałowic. Bogactwo, bieda, interesy, poszukiwanie przestrzeni? Dąbrowski ma prawie 50 lat i pięcioro dzieci. Michałowicki majątek odkupuje od Konstantego Wielogłowskiego. Wielogłowski właśnie stracił dwudziestodwuletnią żonę Emilię. Michałowice były jej wianem. Być może chce jak najszybciej sprzedać miejsce, które napawa go smutkiem.

Dąbrowscy przyjeżdżają do Michałowic w 1875 roku. Początkowo mieszkają w starym, drewnianym dworze. Prawdopodobnie postawił go sam Hugon Kołłątaj, któremu nadał tę ziemię król Stanisław August. Kiedy rodzina Dąbrowskich

Emilia z domu Sołtyk z mężem
Konstantym Wielogłowskim,
ok. 1870, z arch. K. Skawińskiej



Uroczyste dożynki
w pobliskiej Masłomiącej
w 1939 r., rodzina
Dąbrowskich widoczna na
dalszym planie w cieniu
drzew, NAC





Humorystyczny
projekt domu
mieszkalnego
à la Talowski
autorstwa
J. Zawiejskiego,
1891, Archiwum
Narodowe
w Krakowie

ORYGINALNOŚĆ FACJAT

Teodor Talowski jest profesorem Wyższej Szkoły Techniczno-Przemysłowej w Krakowie i projektantem równie modnym co kontrowersyjnym. Niektórzy nazywają go architektem-poetą. Lubi spatynowaną cegłę, żelazne kotwy, łacińskie sentencje i dziwaczne detale. To, co tworzy, jest zazwyczaj nieregularne, zawile wewnątrz, malownicze. Mówi się, że budynki jego projektu odznaczają się niezwykłą „oryginalnością facjat” i że są zgodne z zaleceniami Ruskina, by dom był pamiętnikiem i przedstawiał historię życia właściciela. Ci, którym się nie podobają, zarzucają, że Talowski tworzy nie tyle dzieła sztuki, ile „osobliwości”. Twierdzą, iż są przekłamanie i że architekt bez umiaru pstrzy je „przyczepkami”, których logika nie usprawiedliwia.

Teodor Talowski nie narzeka na brak zamówień. Zanim zwróci się do niego Dąbrowski, projektuje w Krakowie wiele budynków. W 1887 roku przy ulicy Retoryka staje jego własna

się powiększa, Tadeusz postanawia wybudować nowy dom. O projekt zwraca się do krakowskiego architekta Teodora Talowskiego.

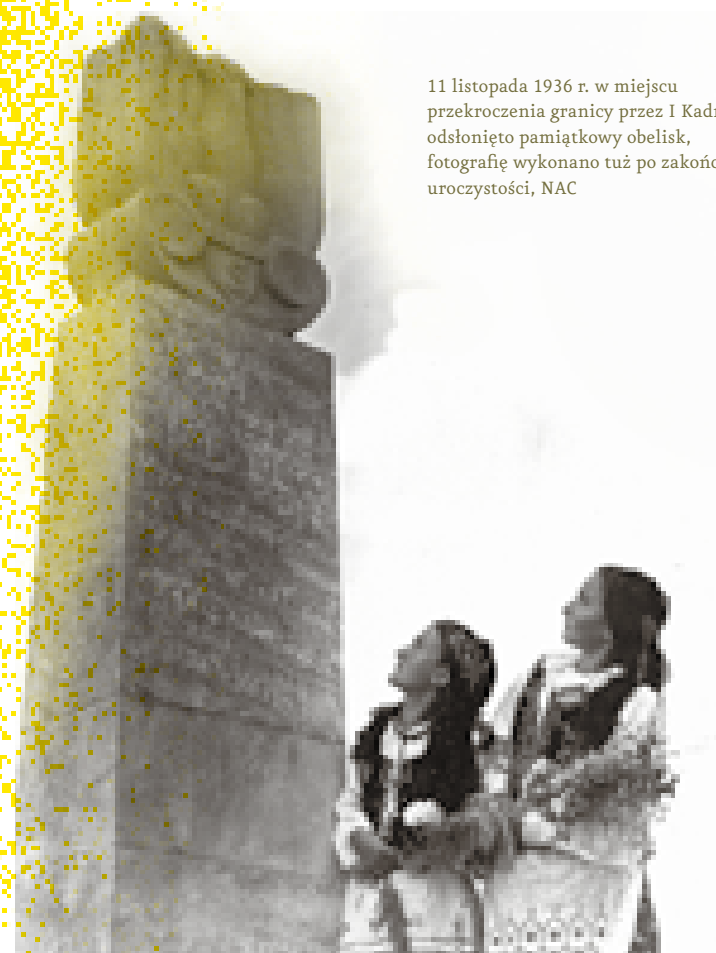
Z PAMIĘTNIKA LUB DZIENNIKA TERESY DĄBROWSKIEJ

Wróciłam właśnie przed chwilą z wyprawy do ogrodu przy świetle księżyca. Czyż to nie romantycznie błąkać się po księżycu w towarzystwie pocziwego Kruczka (pieska) i przenosić się w krainę marzeń tak dla mnie ponętną (czyli zapatrując się trzeźwo na rzeczy, zaprzętać sobie głowę niepotrzebnymi mrzonkami!).

Byłam na weselu panny naszej wiejskiej z fornałem... Śliczny jest po większej części lud wiejski w krakowskim, dziewczyny jasne jak anioły lub brunetki z czarnymi wielkimi oczami... A jeszcze jak się krakowiak ładnie ustroi w swój ubiór narodowy, to już niczego więcej pragnąć nie można, tylko patrzeć nań, patrzeć, patrzeć, i...

Lubię ładnych krakowiaków, a jest ich w Michałowicach dosyć. Jeden szczególnie, dzisiejszy druhna, jest piękny jak Apollo, wygląda jak wcielony diabełek. Tylko, że jest próżniakiem!

11 listopada 1936 r. w miejscu przekroczenia granicy przez I Kadrową odsłonięto pamiątkowy obelisk, fotografię wykonano tuż po zakończonej uroczystości, NAC



kamienica – *Festina lente*. Zbudowana ze sztucznie postarzonej cegły, z różnej wielkości oknami, wygląda, jakby wzniesiono ją w średniowieczu i od tego czasu wielokrotnie przebudowano. Dwa lata później na rogu ulic Karmelickiej i Batorego powstaje drugi dom artysty – przypominająca obronny zamek kamienica „Pod Pajakiem”. Przy ulicy Retoryka rośnie cały ciąg domów: „Pod Osłem”, „Pod Śpiewającą Żabą”... Architekt ma już także na koncie pałace w Dobiechowie i Cianowicach. Później zaprojektuje jeszcze krakowskiego Sokoła, szpital Bonifratrów oraz słynny „Podkop” w ulicy Lubicz. Jan Albin Goetz, dla którego Talowski obmyśla kamienicę przy ulicy św. Jana 3, planuje nawet zlecić mu projekt swojego Nowego Pałacu w Okocimiu, ale z powodu bliżej nieznanych nieporozumień współpraca się urywa.

Z PAMIĘTNIKA LUB DZIENNIKA TERESY DĄBROWSKIEJ

Przeglądałam przed chwilą zabytki mojej przeszłości! O, bo ja mam przeszłość pewnego rodzaju, a mianowicie (wspomnienie) miłości do panny Jadwigi. Jeszcze przed dwoma miesiącami, a może i nie tak dawno, wdychałam do niej, tęskniłam (teraz już nieraz pobudza mię ta historia do śmiechu).

Mówiła mi Ciocia Czarnowska, że każda panna, szczególnie pensjonarka, kocha się choć raz w drugiej paninie, zwykle starszej od siebie. Pamiętam, jak szalałam za nią, zdawało mi się, ciągle o niej myślałam, śniłam, przeszkadzało mi to naturalnie do nauki – jednym słowem było to coś przyjemnego, niemiłego i – nudnego zarazem.

...Jednak zdaje mi się, że ją jeszcze kocham!

SZOSA

Latem 1914 roku Michałowice mają koszary, urząd pocztowy, sklep spożywczy, piekarnię, masarnię i restaurację. Komora celna pamięta wizytę cara Mikołaja I, który w 1832 roku czekał tu na powrót żony z wakacji na Sycylii. Teraz jednak, za kwadrans dziesiąta 6 sierpnia, budynki są wymarłe. Krakowskim traktem zbliża się ktoś zupełnie inny.

137 żołnierzy wyruszyło o 3 nad ranem, nie mając pewności, czy to nie kolejne ćwiczenia.

Bolesław Długoszowski „Wieniawa”: „Szerokim kołem obeśliśmy Kraków. Wreszcie wyszliśmy na szosę kielecką. Gdzież teraz skręcimy – na prawo, do Krakowa, czy na lewo? Kroczący na czele Kompanii Kasprzycki, wyszedłszy na szosę, zachodzi na prawo. Rozpacz! Nagle «Zbigniew» rzuciwszy przekornym spojrzeniem na Kompanię, zakręcił na lewo. Ku granicy! Odtąd już nie maszerowaliśmy, ale coś nas niosło – coś porywało”.

Z PAMIĘTNIKA LUB DZIENNIKA TERESY DĄBROWSKIEJ

Mówią, że przyszły rok ma być rokiem nieszczęść i klęsk, może będzie wojna, może powstanie! To słowo mię elektryzuje... Tak bym pragnęła, ach, nie – to byłoby za wielkie i nieprawdopodobne szczęście, widzieć moją Ojczyznę wybijającą się na wolność i zwyciężającą, niegodna jestem tego. Ach, wy gnębiciele, wy okrutnicy, jak was nienawidzę, jak ja gardzę wami, nie całym narodem, bo coś winni są chłopci i rolnicy Rosyi, ale wami urzędnicy carscy...

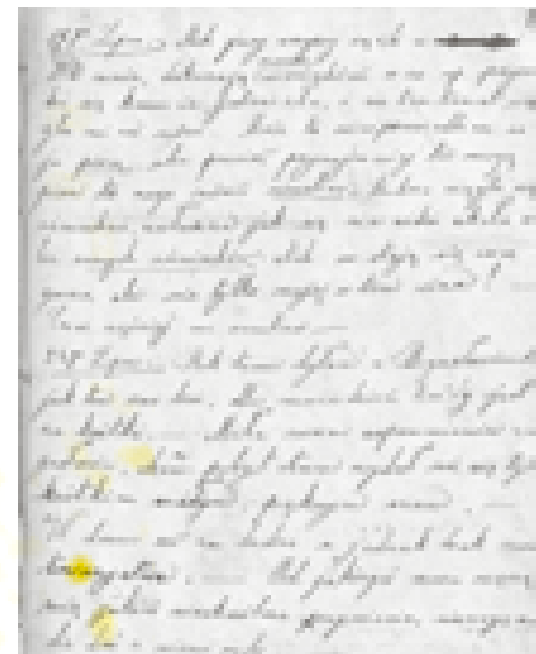
DWÓR

Nie wiadomo, jaką historię życia i jakie doświadczenia miał za sobą Tadeusz Dąbrowski, stawiając swój nowy dom. Nie jest też pewne, czy Teodor Talowski rzeczywiście pokusił się o zaklęcie tych życiowych doświadczeń w kamień.

Jednak bez wątpienia dworek, który stanął w Michałowicach w 1897 roku, miał opowiedzieć historię. Była to historia starego rodu, który wznosi na wzgórzu nad parowem mały, lecz foremny gotycki zameczek z kanciąstą, pękatą wieżą, gdzie można długo się bronić. Ktoś z tego rodu – kłamią mury – przebudowuje potem, w spokojniejszych czasach, rodowe gniazdo, dodając mu piękną renesansową loggię i wielkie łukowate okna. A jeszcze później, kiedy czasy znów stają się złe, pękata baszta wytrzymuje cios szwedzkiej kuli armatniej, która na zawsze pozostaje zaryta w ścianę...

Teresa pewnie dobrze się czuła, goszcząc wraz z mężem w tym romantycznym i malowniczym dworku.

Karta z pamiętnika Teresy Dąbrowskiej, po mężu Majewskiej, z arch. J. Majewskiego





W rogu od prawej właściciele dworu:
Jadwiga i Tadeusz Dąbrowscy, oraz
pozostali członkowie rodziny, lata 30.
XX w., z arch. J. Majewskiego

Z PAMIĘTNIKA LUB DZIENNIKA TERESY DĄBROWSKIEJ

Wróżby na św. Andrzeja. Otóż ukazał mi się dwa razy młodzieniec na rumaku w kapeluszu.

SŁUPY

W 1914 roku granica między Austrią a Rosją przebiega w Michałowicach. Wyznaczają ją wysokie na dwa metry, zwieńczone rosyjskim gołdem słupy graniczne.

Jan Misiewicz „Roch”, który idzie na szpicy Kompanii, na moment się o nie opiera. „Pamiętam, jak minąwszy te symbole rozkrajania ziemi polskiej, odwróciłem się, aby przyrzec im się raz jeszcze – tym razem z drugiej strony, okiem wskrzeszonego żołnierza polskiego, który słupy zaborcze ma już... gdzieś za sobą”.

Wskrzeszeni żołnierze polscy mijają je w milczeniu, maszerując na baczność, „salutowani przez gromadkę strażników celnych i oddziałek dragonów austriackich, gapiących się na nas ze straszliwym respektem”.

Po chwili „Roch” słyszy krzyk. Odwraca się jeszcze raz. Widzi, jak środkowa część oddziału, ta, która nie musi się martwić o zabezpieczenie przemarszu, zabiera się do obalania słupów. Po prawej stronie jakiś wieśniak stoi oniemiały w bezruchu. „Miałem wrażenie, że nie mógł wyjść z podziwu, że oto jakaś garstka młodzików ośmieliła się targnąć na słupy rosyjskiego mocarstwa”.

Kadrowka przekroczyła właśnie swój „Rubikon w marszu na Warszawę”.

OBIAD

Zaraz za granicą, na wzgórzu dowódca Tadeusz Kasprzycki „Zbigniew” zatrzymuje oddział. „Baczność! – krzyczy. – Dla uczczenia tej ziemi, której wolność ślubowaliśmy wskrzesić naszymi bagnietami i oddać za nią swoją krew – na prawo patrz!”

Kompania patrzy w prawo, Kasprzycki po trzykroć salutuje szablą. Józef Szczepanowski „Wojno” zapamięta: „Kompania patrzy w prawo, ale jej żołnierze nie patrzą, bo na razie nic nie widzą. Jakoś się, psiakrew, oczy popociły”.

Poza spoconymi oczami maszerującym od 3 nad ranem żołnierzom dolega także burczenie w brzuchach, a kompanijny интендент Aleksander Litwinowicz „Grubszy” akurat gdzieś znika.

Odnajduje się przed dworem w Michałowicach. Dwór wygląda wówczas dokładnie tak jak wtedy, gdy ukończono jego budowę: przypomina gotycki zameczek, przebudowany w renesansie. A jednak wiele się tu zmieniło. Przede wszystkim – nie ma już Tadeusza. To znaczy jest, lecz inny. To mały Tadeusz z dziennika Teresy. W 1914 roku ma już 41 lat i żonę, Jadwigę z Majewskich. Od dwóch lat jest naczelnikiem Michałowickiego Towarzystwa Pożarniczego, które z ogniem walczy ręczną sikawką, zasilaną z beczkowozów. Od śmierci ojca w 1903 roku to on gospodaruje w Michałowicach.

Pozostałe „rozpuszczone dziatki” Tadeusza seniora także bardzo się zmieniły. Stefan nosi teraz imię Klemens. Jest benedyktynem. Staś ma 44 lata. Helenka została siostrą Marią Klemensą, zmartwychwstanką. Zosia zmieniła się w józefitkę, siostrę Symplicję, a najmłodsza Marysia jako matka Małgorzata jest przełożoną generalną zmartwychwstanek.

Czterdziestojednoletni Tadeusz – z pomocą intendenta „Grubszego” – podejmuje I Kadrową obiadem. Co jedzą? „Coś

w rodzaju higienicznego obiadu w jarskiej kuchni” – zapamięta „Grubszy”.

Potem Kadrówka rusza dalej. Niszczy rosyjskie napisy, rewiduje domy carskich urzędników, konfiskuje broń. Zmierza w stronę Kielc i dalej, ku Warszawie... Obiad w michałowickim dworze jest tylko momentem – wytchnienia dla żołnierzy, radości dla gospodarzy.

W 1944 roku dwór zostanie znacjonalizowany. Będą się w nim mieścić Samopomoc Chłopska i Bank Spółdzielczy w Słomnikach. Ale kiedy w 1979 roku spłonie, nikt nie będzie się poczuwał do odbudowy. Dopiero w 1985 roku całkowicie zniszczony dwór odkupi rodzina Lorenzów. Własnymi nakładami krok po kroku podniesie budynek z ruiny, zagospodaruje park i ogród, po którym błądziła Teresa. Do dworu wróci życie i dusza.

ZAKOŃCZYŁAM TEN DZIENNIK

A Teresa?

24 stycznia 1887. Zakończyłam ten dziennik... Dużo tu – zwłaszcza w ostatnim roku nababrałam złego, wiele grzesznych myśli i zdań tu wypisałam, tak że nie wiem, jak się ośmielę dać to Mamie do przeczyta-

Tadeusz i Jadwiga Dąbrowscy
z Jankiem Majewskim, wnukiem Teresy
z Dąbrowskich, z arch. J. Majewskiego



nia, jak to obiecałam. Ale niech wie Mama, jaka jestem szkaradna, mają mnie za złą, ale nikt chyba za taką, jaką jestem w rzeczywistości.

Pisała swój dziennik dwa lata, od 1885 do 1887 roku. Wkrótce potem wyszła za mąż za Mariana Majewskiego. Urodziła mu trójkę dzieci.

Nawet jeśli wciąż elektryzowała ją myśl o powstaniu, nie dane jej było zobaczyć, jak wskrzeszeni polscy żołnierze obalają graniczne słupy, jak Tadeusz podejmuje ich obiadem i jak Polska wybija się na niepodległość.

Zmarła w 1911 roku i ominęły ją wszystkie te momenty.

Rysunek dworu trzynastoletniej Basi
Lorenz, obecnie studentki architektury,
z arch. rodziny Lorenzów





WIDOK Z WNĘKI KLUB GARNIZONOWY W KRAKOWIE

Franciszek Latinik najwyraźniej darzy kobiety wielkim szacunkiem. Może to dlatego, że mieszka aż z czterema. Żona Helena (z domu Stiasny-Strzelbicka) co dwa lata rodzi mu córkę: Annę, Irenę i Antoninę. Pozując do zdjęcia w łobzowskim ogrodzie, Latinik ustawia je wszystkie przed sobą. Sam kryje się z tyłu; by w ogóle być widocznym zza pleców żony, musi stanąć na przewróconej drewnianej komódce. Jak na oficera armii austro-węgierskiej, komendanta Szkoły Kadetów Piechoty w Łobzowie, przyszłego dzielnego zdobywcę góry Pustki, ziejącej ogniem niczym czynny wulkan, i późniejszego generała jest to dość ciekawy sposób pozowania.

Ale Franciszek Latinik najwyraźniej wcale się tym nie przejmuje. Jest piękna wiosenna pogoda i Łobzów cały kwitnie. Być może Franciszek skończył już zajęcia z żołnierską młodzieżą, może zjadł z rodziną dobry obiad, odpoczął w ogrodzie i nie ma już na dziś żadnych obowiązków. Do szturm na zajęte przez Rosjan Gorlice zostało mu jeszcze ładnych kilka lat. Tego słonecznego dnia Latinik ma widocznie świetny humor.

Może popołudniem wybiera się do Kasyna?

OBCY I WYOBCEWANI

Oficerowie armii austro-węgierskiej źle się czują w Galicji. Daleko stąd do Wiednia, biednie, niewygodnie, obco i samotnie. Jadą tu jak na wygnanie. Kto ma znajomości, zaczyna starać się o przeniesienie. Ci, którzy już trafili do galicyjskich miast i miasteczek, tęsknią. Czują się obco „pod względem języka i obyczajów”. Na dodatek oficerowie są przyzwyczajeni do życia towarzyskiego wśród elit. Tymczasem polska arystokracja mówi po polsku lub francusku i nie ma ochoty bratać

Franciszek Ksawery Latinik
z rodziną w Łobzowie,
między 1907 a 1911 r., z arch.
rodzinnego A. Vetulaniego,
Wikipedia

Zajęcia w Szkole Kadetów, z arch.
P. Stachnika





Dowództwo 59. Pułku Piechoty
z Eduardem von Alborim
w oranżerii pałacu Goetzów-
Okocimskich, wiosna 1915,
z arch. K. Trzebieckiego

Personalgruppe des 4. A.K., Brzesko 14/4.19

się z niemieckojęzycznymi Austriakami. Wyraźnie daje się im do zrozumienia, że są obcy. „Mieliśmy wrażenie, że jesteśmy nie w Austrii, lecz w kraju nieprzyjacielskim” – pisze August Urbański von Ostrymiecz, wówczas kapitan w sztabie 30. Dywizji Piechoty we Lwowie.

Eugenowi Pöschmannowi skierowanie do pułku w Jarosławiu psuje radość z awansu na majora. Kiedy po roku niewygód żegna się z Galicją, trzykrotnie spluwa. Nie udaje mu się zażegnać pecha – osiem lat później obejmuje dowództwo 20. Pułku Piechoty w Krakowie. Tym razem ma jednak szczęście (w nieszczęściu). Kraków od 1850 roku jest ważną, graniczną twierdzą. Stacjonuje tu kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy armii austro-węgierskiej i ponad tysiąc oficerów. Warunki życia poza-służbowego są znacznie lepsze niż w innych miastach Galicji. Zadbął o to między innymi były dowódca stacjonującego w mieście 1. Korpusu – baron Eugen von Albori, dawny gubernator Bośni i Hercegowiny, wuj Eduarda, który w 1915 roku robi sobie zdjęcie w palmiarni w pałacu Goetzów-Okocimskich i – być może – wysłać do ataku „zapasowego rezerwistę” Haslauera. To on wprowadził w Krakowie nieznaną gdzie indziej zwyczaj: żonaci oficerowie mają o stałych porach organizować w swych domach otwarte spotkania towarzyskie, zwane *jour-fixami*.

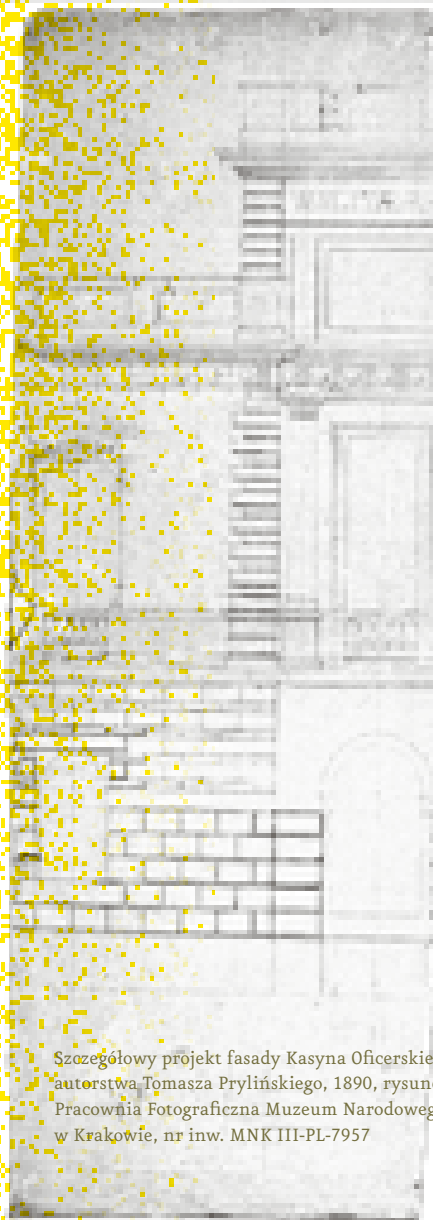
Skazanemu na Galicję Pöschmannowi w Krakowie wypada składać około 200 wizyt miesięcznie.

Być może wizytuje także łobzowski dom Franciszka Latinika.

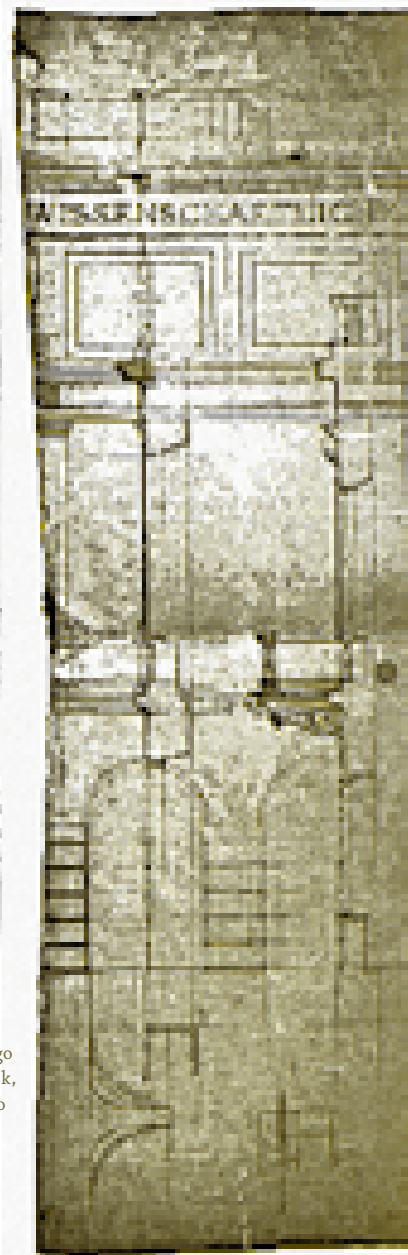
A nawet jeśli nie – na pewno spotykają się w Kasynie.

GWOŹDZIE, OKRZYKI I TŁUM

19 listopada 1890 roku, w samo południe, przed stojącym przy Plantach jednopiętrowym gmachem w stylu włoskiego renesansu gromadzi się tłum. Najwyżsi rangą oficerowie są w pełnym galowym umundurowaniu, nie brak generałów, książąt (jeden przyjechał specjalnie ze Lwowa) ani włodarzy miasta; zaraz przybędzie i kardynał. Pomiędzy socjetą dyskretnie przemyka reporter dziennika „Czas”.



Szczegółowy projekt fasady Kasyna Oficerskiego
autorstwa Tomasza Prylińskiego, 1890, rysunek,
Pracownia Fotograficzna Muzeum Narodowego
w Krakowie, nr inw. MNK III-PL-7957



Na pomysł budowy Kasyna Oficerskiego wpadł kilka lat wcześniej szef sztabu generalnego pułkownik Edmund Hoffmeister. Akurat zbliżała się 40. rocznica panowania cesarza Franciszka Józefa, można było pokusić się o uczczenie jej pięknym i pożytecznym budynkiem. Rada Miasta Krakowa za darmo oddała wojskowym działkę przy Plantach. Miała zresztą w tym swój interes: planowała uczynić z pierwszej obwodnicy reprezentacyjną aleję, przy której staną ekskluzywne hotele, wille i pałacyki z widokiem na Planty. Elitarne Kasyno Oficerskie bardzo dobrze wpisywało się w tę konwencję. Miało też wnieść do Krakowa powiew nowoczesności. Na zachodzie Europy życie klubowe stawało się właśnie modne. W Londynie podróżnicy zbierali się w The Travelers Club, autorstwa architekta Charlesa Barry'ego. Weterani wojen napoleońskich od 1815 roku snuli wspomnienia dawnej chwały w The Guards Club.

Tomasz Pryliński ma 42 lata, kiedy wojsko zwraca się do niego z prośbą o zaprojektowanie Kasyna. Jest już bardzo znanym architektem. Znakomitą renomę wyrobiły mu przebudowa Sukiennic oraz przyjaźń i uznanie Jana Matejki. Na potrzeby kasyna Pryliński projektuje piętrowy gmach w stylu włoskiej renesansowej willi. Wykonanie prac powierza przedsiębiorstwu Karola Knausa. W 1890 roku gmach jest gotów. Zaproszona na uroczyste otwarcie prasa chwali: „architekt świetnie wyzyskał teren, w projekcie rozwinął wiele artystycznego smaku”. Budynek zwraca się frontem ku niedużemu ogrodowi, z góry skazanemu na zagładę; w przyszłości ma bieć tędy ulica Zybkiewicza.

Na razie jednak ogród wypełnia tłum w paradnych mundurach. 19 listopada 1890 roku honory domu czyni komendant korpusu Krieghammer. Czujne oko reportera „Czasu” dostrzega także pomysłodawcę budowy, byłego już szefa sztabu generalnego pułkownika Edmunda Hoffmeistera. Ze Lwowa umyślnie na uroczystość przybył poprzodnik Kriegshammera, książę Windisch-Graetz. Wąsaty mężczyzna z ciemną bujną fryzurą to prezydent Krakowa Feliks Szlachetowski. Obok niego skupili się zaproszeni radni, dyrektor kolei, znany adwokat dr Józef Stanisław Rettinger, jeden ze sponsorów budowy. Wszyscy czekają na kardynała.

Jego Eminencja nadjeżdża wreszcie. Teraz, przez „śliczną klatkę schodową”, goście przechodzą do „gustownie urządzonego foyer”. W połowie schodów prowadzących na piętro czeka już na nich tablica. Błyszczący na czerwonym tle napis dokładnie tłumaczy na czyją cześć (Franciszka Józefa), dzięki

czyjej ofiarności (Ministerstwa Wojny, Rady Miasta Krakowa, oficerów całego garnizonu oraz bezinteresownego dr. Rettin-gera) wznosi się „gmach ten, przeznaczony na wojskowe ognisko krzewienia życia koleżeńskiego”. Pod napisem przemawia



Projekt sali teatralnej, widok na scenę, sygnowany T. Pryliński, 1890, Pracownia Fotograficzna Muzeum Narodowego w Krakowie, nr inw. MNK III-PL-5093

Uroczystość wręczenia Złotego Krzyża
Zasługi żonie gen. Jerzego Aleksandra
Narbutt-Łuczyńskiego Natalii z Leskich
Łuczyńskiej. Na zdjęciu widoczne
popiersie J. Piłsudskiego, 1938, NAC



„jenerał-major” Adolf Kirsch, prezes nowego kasyna. Symboliczny gwóźdź wbija w tablicę książę Windisch-Graetz. Tomasz Pryliński wręcza jeszcze klucze do gmachu komendantowi, kardynał macha kropidlą i wszyscy mogą już przejść do wspaniałej sali głównej.

To wcale nie koniec tej pięknej uroczystości.

Salę główną (która także budzi zachwyt wysłannika „Czasu”) zdobią niezwyklej urody plafon wenecki oraz cesarskie popiersie. Przed popiersiem oficerowie i zaproszeni goście ustawiają się półkolem. Znów syją się przemowy i podziękowania. Prezes Kirsch wznosi okrzyk na cześć tego, „około którego z taką miłością i wiernością wszyscy się skupiamy”.

Dopiero wtedy, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, wszyscy mogą udać się na śniadanie. Na wieczór przewidziane są tańce.

POD WENECKIM PLAFONEM

Franciszka Latinika na pewno nie ma na uroczystym otwarciu Kasyna. W 1890 roku studiuje w Akademii Sztabu Generalnego w Wiedniu. Potem służy w wojskach liniowych i sztabie generalnym, wykłada taktykę dla oficerów piechoty. Do Krakowa wraca około 1909 roku. Zostaje komendantem Szkoły Kadetów w Łobzowie. Wówczas już na pewno bywa w Kasynie. W Kasynie bywają wszyscy oficerowie.

Nie mamy stuprocentowej pewności, co tu robią. Jedynie Franciszek Józef z popiersia we wnęce sali balowej, kamieniny, milczący świadek, mógłby nam o tym opowiedzieć. Nie zachowały się żadne wspomnienia ani fotografie z wnętrza krakowskiego Kasyna przed końcem I wojny światowej. Ale

– posiłkując się opisami z lat międzywojennych – możemy zgadywać.

Jest na przykład prawie pewne, że przynajmniej raz na jakiś czas major Franciszek Latinik spożywa w Kasynie obiad. Nieżonaci oficerowie jadają tu znacznie częściej – służbowo im się to zaleca. Tym, którzy jak Latinik mają rodziny, wypada pojawić się na obiedzie przynajmniej raz w miesiącu.

Alé major Latinik na pewno bywa w Kasynie częściej. To w końcu „wojskowe ognisko krzewienia życia koleżeńskiego”. Można tu pożyczyć książkę, wysłuchać wykładu albo pogadanki, albo je wygłosić, odbyć służbowe zebranie, zagrać partyjkę bilardu. Może żona majora, Helena, lubi brydża? Kasyno Oficerskie nie jest bynajmniej miejscem przeznaczonym do hazardu, lecz kilka brydżowych stolików pewnie by się tu znalazło...

A może Helena woli muzykę? Na scenie Kasyna co rusz odbywają się koncerty i przedstawienia sceniczne (szczególnie często gości Bielskie Towarzystwo Teatralne). Organizuje się wspaniałe bale i rauty – być tu zaproszonym to prawdziwy zaszczyt, a pominięcie jest dla oficera powodem do honorowej obrazy.

Być może któregoś wieczoru Helena Latinikowa tańczy z trzydziestoletnim kapitanem Maksymilianem Hofmanem? Czy wie, że zawdzięcza mu czyste pranie?

Pierwotny wygląd Kasyna Oficerskiego,
widokówka, 1900, z Archiwum
Narodowego w Krakowie, Dż. C V 38



ZŁAMANA DUSZA

Maksymilian Hofman mieszka w Krakowie od 1904 roku. Jest Austriakiem, pochodzi z Tyrolu. Podczas służby w 1. Regimentzie Cesarskiej Artylerii Fortecznej w Wiedniu z wynikiem celującym kończy studia architektoniczno-budowlane. On także trafia do Galicji.

Otrzymuje przydział do Twierdzy Kraków jako inżynier i budowniczy. Ma tu zbudować nowe koszary dla opuszczającego Wawel wojska. Stawia je przy ulicy Rakowickiej – są wielkie i piękne. Inspirowane barokiem habsburskim, wyglądają jak zespół pałaców. Wznosi także pralnię w Szkole Kadetów w Łobzowie.

W 1905 roku Maksymilian Hofman zaczyna pracę nad nowym projektem: szpitalem garnizonowym, który ma stanąć przy ulicy Wrocławskiej. Planowanie zajmie mu dwa lata. Przez kolejne cztery będzie nadzorował budowę zespołu piętrowych pawilonów, ozdobionych delikatnymi secesyjnymi detalami. Będzie to bardzo piękne, spokojne miejsce. Otoczone parkiem. Nie zdoła jednak uleczyć złamanej duszy Georga Trakla, z wykształcenia farmaceuta, z powołania genialnego poety, który w pewien październikowy dzień 1914 roku „w szopie w pobliżu Rynku” w Limanowej własnoręcznie i bez niczyjej pomocy będzie musiał opatrzyć dziewięćdziesięciu rannych, słuchając jedynie ich jęku i błagań o śmierć. Trzeciego listopada 1914 roku farmaceuta i genialny poeta, w otoczeniu delikatnych secesyjnych detali oddziału psychiatrycznego szpitala garnizonowego, śmiertelnie przedawkuje kokainę, nie doczekawszy się na spotkanie ze swym mecenasem i listownym przyjacielem, filozofem i logikiem Ludwigiem Wittgensteinem, który w tym czasie obsługuje reflektor na okręcie flotyli wiślanej S.M.S. „Goplana”.

Ale Maksymilian Hofman, oczywiście, nic o tym nie wie. W 1906 roku bierze się właśnie za nowe zlecenie. Ma przygotować projekt przebudowy Kasyna.

OKRES GALICYJSKI

Kasyno nie może już pozostać w formie, jaką nadał mu Pryliński. W ciągu tych kilkunastu lat wiele się zmieniło. W miejscu ogrodu biegnie teraz ulica Zyblikiewicza.

Hofman nie ingeruje w bryłę budynku. Przebudowuje wejście – ukrywa je pod taflą szkła, wspartą na kutyh secesyjnych wolutach. Więcej zmian wprowadza wewnątrz. W budynku pojawia się dodatkowe piętro, mieszczą się w nim pokoje dla ordynansów. By strop wytrzymał obciążenie,

architekt – w miejsce drewna – wprowadza supernowoczesny żelbet. Z sufitu sali balowej znika wenecki plafon. Zamiast niego pojawiają się kasetony wypełnione stiukowymi girlandami gałązek dębu i lauru. Neorenesans zastępuje wiedeńska secesja. Wyobcowani oficerowie armii austro-węgierskiej będą w odnowionym Kasynie czuć się nieco bardziej jak w domu.

Projekt Hofmana bardzo podoba się komendanturze. Dostaje za niego nagrodę oraz wyróżnienie „za rzeczowe i doskonałe opracowanie planów i kosztorysów”. Wkrótce awansuje na kapitana. Zanim w 1911 roku opuści Kraków, by na sześć lat udać się do Zagrzebia, zdąży – być może – poznać w Kasynie majora Latinika i jego małżonkę.

W marcu 1917 roku, kiedy Franciszek Latinik będzie miał już za sobą szturm na górę Pustki, Maksymilian Hofman powróci do Galicji. Będzie komendantem grupy robót budowlanych w Krystynopolu. Do czerwca zostawi po sobie mosty, drogi i 89 budynków, od tartaków po Dom Żołnierza. Potem słychać po nim zaginie. Zapewne spocznie w grobie, którego nigdy nie spotka przeistoczenie.

Ulica M. Zyblikiewicza w Krakowie,
na drugim planie widoczna sylwetka
Kasyna Oficerskiego, 1930, NAC



OCZY Z WNĘKI

Najjaśniejszy Pan Franciszek Józef wytrwa we wnętrzu w ścianie sali balowej do 1918 roku. Do tego czasu zdąży zobaczyć naprawdę wiele. Będzie świadkiem balów, koncertów, przedstawień... Może zobaczy nawet, jak Maksymilian Hofman tańczy z majorową Franciszkową Latinikową.

Potem na warcie we wnętrzu zastąpi go Józef Piłsudski. Pod jego okiem znów rozpoczyna się balet i rauty, żona pewnego naczelnika kolei przetańczy zaś wieczór z Lucjanem Rydlem...

A później znów zmieni się popiersie. Włodzimierz Lenin surowym wzrokiem spojrzy na secesyjną salę balową. Może spodoba mu się, jak na scenie grał będzie Poldek Kozłowski, ostatni klezmer Rzeczypospolitej? Może uśnie, znudzony wykładami Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu i Leninizmu? Może zaduma się nad tonącym w morzu kwiatów symbolicznym katafalkiem Stalina?

Potem jego samego czeka wygnanie i niełaska, a nad salą balową pieczę przejmie naczelnik Kościuszko.

Kościuszko także będzie miał na co patrzeć.

Zobaczy kilka pogrzebów, liczne wesela i wiele balów. Weźmie udział w nieskończonej liczbie odczytów, narad, szkoleń i konferencji, a nawet walnych zebrań spółdzielni mieszkaniowych. Przetrwa mały pożar, spotka generała de Gaulle'a i astronautkę Tierieszkową. Będzie świadkiem, jak tłum o mały włos nie roznieśli Klubu Garnizonowego (bo tak będzie teraz nazywać się Kasyno), prędo spotkanie ze Stanisławem Mikulskim. Posłucha Skaldów, Czerwono-Czarnych i japońskiej pianistki Mariko Hayashi. Może polubi bigbit? Usłyszy, jak dziewczyny z zespołu Platerówki, pod opieką laureata Orderu Uśmiechu Tadeusza Kamionki, zaśpiewają dla polskich lotników weteranów *Żeby Polska była Polską*, a wszyscy wstaną i będą wtórować im, płacząc...

Tadeusz Kościuszko z sali balowej dawnego kasyna dla oficerów, a dzisiejszego Klubu Garnizonowego, zobaczy to wszystko, lecz niestety nie będzie mógł o tym opowiedzieć. Zrobią to za niego Tadeusz Kamionka, dbający o nagłośnienie tych wszystkich wydarzeń, i Barbara Dziewońska, wieloletnia bibliotekarka.

*

Najjaśniejszy Pan Franciszek Józef, ten sam, przed którym 19 listopada 1890 roku w półkolu skupili się stęsknieni za Wiedniem oficerowie Austro-Węgier, ten sam, który – być może – spoglądał na majora Latinika i kapitana Hofmana,

przetrwa w Kasynie zadziwiająco długo. Po tym, jak opuści wnętrze w sali balowej, spocznie na strychu. Będzie tam leżał w spokoju i ciemności, pokrywając się kurzem, aż w tajemniczy sposób przeniesie się do piwnicy. Będzie to ponoć Piwnica pod Baranami, lecz Najjaśniejszy Pan z krakowskiego Kasyna Oficerskiego, świadek tylu pięknych balów, rautów i odczytów, zaginie w niej bez śladu. Zabierze z sobą wszystkie opowieści.

Mariko Hayashi pije herbatę po zakończonym koncercie fortepianowym, 12 listopada 1964, z arch. Klubu Garnizonowego w Krakowie

Odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci marszałka Józefa Piłsudskiego w Kasynie Oficerskim w Krakowie, 19 marca 1937. Przy tablicy pamiątkowej widoczny generał brygady Jerzy Aleksander Narbutt-Luczyński, NAC





Kawerna Kosocice, fort 50½,
od lewej z łaską Eduardo
von Albori, dalej komendant
Twierdzy Kraków, Karl Kuk,
obok wsparty na łasce arcyksiążę
Leopold Salwator, fot. w dyspozycji
Urzędu Miasta Krakowa – Oddział
Ochrony Zabytków

WOJENNA KORONKA FORT NR 44 TONIE W KRAKOWIE

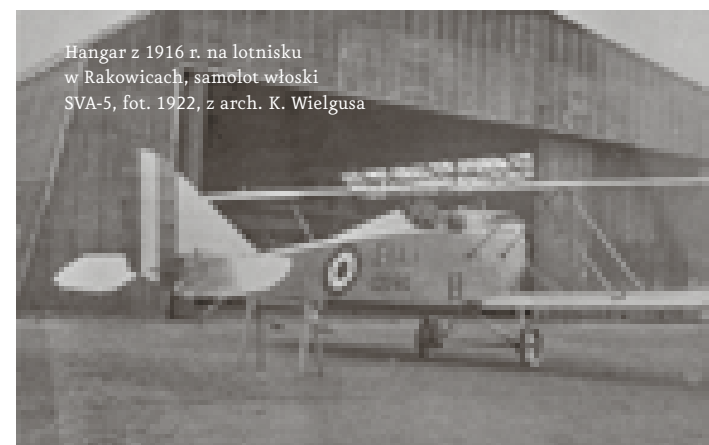
Listopad 1914 roku jest szary, ponury i mglisty. W Krakowie pełno kałuż i błota. Chmury wiszą nisko. Do połowy listopada przymusowo ewakuowano ponad 50 tysięcy mieszkańców, zbyt biednych, by zapewnić sobie wymagany przez wojsko trzymiesięczny zapas żywności. Wyjechał sąd. Ewakuowały się banki i urzędy. Ósmego listopada Kraków opuścił nawet prezydent Leo. Ale na ulicach, w sklepach i kawiarniach życie toczy się normalnie, jakby w okolicach Krakowa bitwy nie było. „Naokoło miasta w promieniu paru kilometrów popalono wsie, by nieprzyjacielowi nie dać schronienia, ludność wydalono. Cała okolica pokryta jest jak koronką nowymi fortami, szanćcami” – notuje Jan Dąbrowski. Miasto przygotowuje się na bombardowanie, ostrzał i oblężenie.

Sześć carskich armii prze właśnie ze wschodu na zachód. Dwie – 9. Generała Płatona Aleksiejewicza Lenczyckiego i 3. Generała Radko Dymitriewa – zmierzają pod Kraków. Rosjanie są u szczytu powodzenia. Ich „walec parowy” miażdży wszystko, co stanie mu na drodze. Stawka, rosyjskie naczelne

dowództwo, planuje uderzyć w okolicy Krakowa; chce rozdzielić armie austriacką i niemiecką, przez Bramę Morawską przedrzeć się na Śląsk i dalej, ku Wiedniowi.

Dowództwo wojsk austro-węgierskich wie o tym dobrze. O posunięciach wroga melduje zwiad lotniczy, startujący między innymi z Rakowic, a gdy Rosjanie podejną na wysokość Prus i Krzesławic – z krakowskich Błoni, a także z Będzina i Andrychowa. Cesarski i królewski wywiad potrafi też przechwytywać depesze iskrowe – odkąd złamano najważniejszy rosyjski szyfr, ich treść nie jest już tajna.

Kraków szykuje się do walki.



Hangar z 1916 r. na lotnisku
w Rakowicach, samolot włoski
SVA-5, fot. 1922, z arch. K. Wielgusa



Plan przeglądowy fortu artyleryjskiego nr 44, niedatowany, stan ok. 1890, za: W. Brzoskwinią, Atlas pancerzy Twierdzy Kraków, cz. I: Główne wyposażenie pancerne fortów Twierdzy Kraków, Kraków 2003

JEDNA Z DZIESIĘCIU

Miasto-twierdza było przygotowywane na tę ewentualność od ponad 60 lat. W połowie XIX wieku austriaccy stratedzy pochylają się nad mapami. Spoglądają na Galicję. Widzą w niej wielkie pole manewrowe dla armii w przyszłym konflikcie z Rosją. Armie te jednak będą potrzebowały twierdz – nie po to, by się w nich zamykać, lecz po to, by gromadzić tam zapasy, móc się przegrupować czy wykorzystać je do osłony swych skrzydeł. Centralna Komisja Fortyfikacyjna śledzi bieg rzek i szlaków komunikacyjnych. W 1850 roku wyrokuje: „Kraków nad Wisłą, w zachodniej części Galicji, stanowi najlepszy punkt na obóz warowny”.

Austriacy zaczynają fortyfikowanie miasta już w 1849 roku. Stawiają kolejne pierścienie fortów. Około 1900 roku

Kraków staje się jedną z najnowocześniejszych europejskich twierdz, wzniesioną według wytycznych najlepszych teoretyków i praktyków sztuki fortyfikacji – pułkownika Ernsta von Leithnera i generała Moritza von Brunnera seniora.

Zawrotne tempo rozwoju techniki wojennej wymaga pilnych modernizacji, na które jednak brakuje środków. Mimo to w 1914 roku krakowska twierdza jest wciąż jedną z dziesięciu największych twierdz Europy. Kosztowała Austro-Węgry około 60–100 milionów koron. Jest tak wielka, że nie mieści się w mieście. Wewnątrz pierścienia o długości 57 kilometrów chroni dwa miasta (Kraków i Podgórze) oraz kilkanaście wsi.

Rosjanie, prac na zachód, nie mogą jej zlekceważyć ani zostawić sobie za plecami.

SZAROŚĆ SZCZUPACZA

Choć służą w tym samym oddziale, mundury mają niejednolite. Niektórzy noszą już szary strój o niebieskawym odcieniu, nazwanym *hechtgrau*, „szarość szczupacza”. On nadal ma stary, ciemnobrązowy. Są raczej młodzi. On też. Są miastowi. On też. Są też dość dobrze wykształceni, a on, syn kolejarza, zdał maturę w podgórskim gimnazjum. Wielu wśród nich rzemieślników, pracowników fabryk, absolwentów szkół. Trzeba być otrzaskanym z nowoczesną techniką, by trafić do 2. Cesarskiego i Królewskiego Galicyjsko-Morawskiego Regimentu Artylerii Fortecznej. W Krakowie stacjonuje około 9000 żołnierzy 2. Regimentu. Obsadzają całą artylerię forteczną i broń maszynową twierdzy.

Ten, któremu towarzyszymy, ma na imię – powiedzmy – Andrzej. Jest wśród tych 265, którzy o świcie wymaszerowali z koszar w Podgórzu lub przy ulicy Montelupich. Czeką go dziewięć kilometrów marszu na północny zachód. Z kolegami z oddziału idzie do fortu nr 44, który znajduje się nieopodal wsi Tonie.

Być może ucieszył się, że tam idzie. Może lubią ten fort. Jest dziwny, inny niż wszystkie. Przede wszystkim – dużo tu miejsca. Tęgie, wzmocnione betonowe dachy dają wrażenie solidności. Zarówno w starszych, jak i nowszych fortach ścisk jest znacznie większy. W Toniach rozdzielono to, co dla artylerzystów i piechoty jest miejscem pracy (czyli walki), od specjalnie wydzielonego bloku koszarowego, gdzie je się i śpi. Na dodatek koszary w forcie 44 projektowano pierwotnie dla – licząc z grubsza – 800 ludzi. Teraz zajmuje je niewiele ponad 500 żołnierzy: 265 artylerzystów z dwoma oficerami, ośmiu saperów z dowódcą i 224 piechociarzy dowodzonych przez pięciu oficerów. To dlatego, że Tonie powstały jako typowy fort artyleryjski lat 70.–80. XIX wieku. Po doświadczeniach wojny francusko-pruskiej w Europie zapanowała artyleryjska histeria. Nowoczesne, gwintowane lufy, bezdymny proch i wydłużone pociski były w stare fortyfikacje z nieznaną dotąd siłą. Uznano, że najlepszą obroną przed nimi będzie atak – zaczęto więc otaczać twierdze naszpikowanymi ciężką artylerią fortami, które miały zniszczyć działa przeciwnika na przedpolu. To wtedy, w latach 1872–1886, na wzgórzach wokół Krakowa powstał trzeci, zewnętrzny pierścień fortyfikacji.

Tonie były wówczas prawdziwym miasteczkiem, uzbrojonym w 26 dział. Kilkusetosobową obsadę przed ostrzałem wroga chroniły monolityczne, odlane z betonu ściany

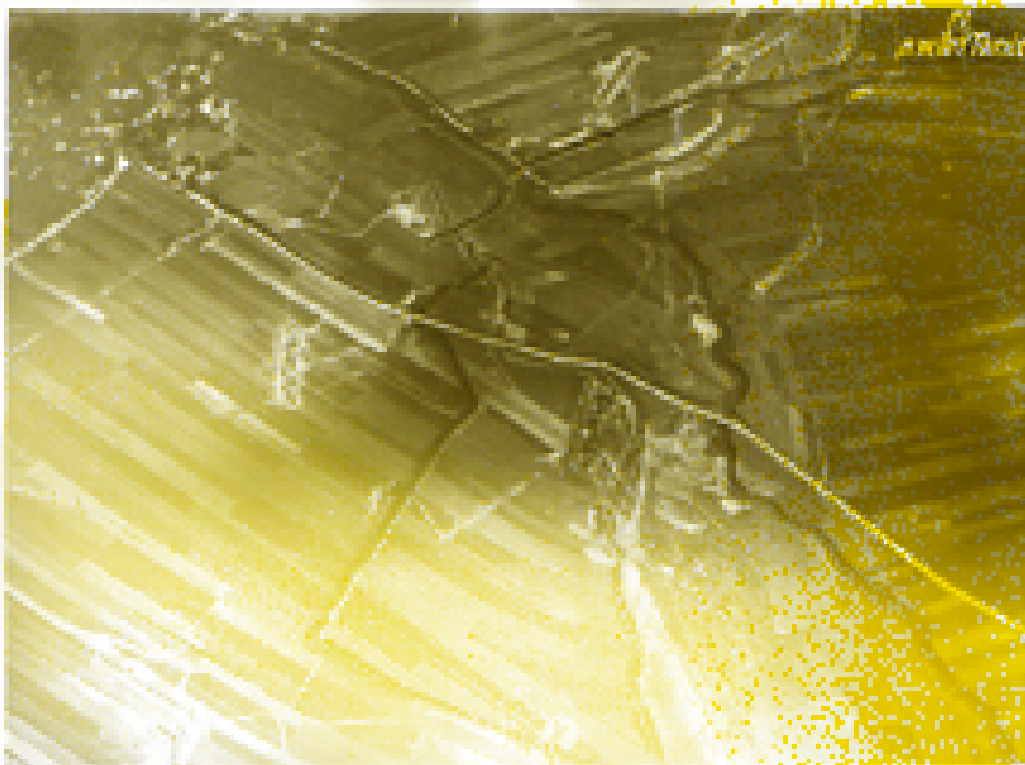


Zdjęcie podwalin schronu pogotowia piechoty w narożniku czołowym fortu nr 44, między 1909 a 1939 r., za: W. Brzoskwinia, dz. cyt.

i sklepienia o grubości od 60 do 100 cm, otulone od zewnątrz grubymi, kilkumetrowymi płaszczami ziemi. Nigdy wcześniej nigdzie na tak wielką skalę nie stosowano betonu.

Koniec XIX wieku to w artylerii czas wynalazków. Do pocisków zaczyna się wprowadzać nowe materiały wybuchowe: heksogen, melinit lub bawełnę strzelniczą. Pojawiają się także nowego typu zapalniki. Ładunek nie wybucha już na powierzchni ziemnego nasypu – eksploduje ułamek sekundy później, kiedy pocisk zdoła się już w niego wbić.

Betonowe ściany fortów artyleryjskich, takich jak Tonie, stają się zbyt cienkie, by zapewnić osłonę dla załogi. Ziemny płaszcz przestaje chronić ukryte wewnątrz konstrukcje. Forty potrzebują czegoś, co nie pozwoli pociskom wbić się w głąb. Potrzebują pancerza. Potrzebują więcej betonu. I Tonie dostają go. Jako jedyny krakowski fort artyleryjski zostają kompleksowo zmodernizowane, stając się fortem opancerzonym. Być może Andrzej czuje się tu bezpiecznie. Zwłaszcza że



Zdjęcie lotnicze fortu Tonie, 1914, fot. w dyspozycji Urzędu Miasta Krakowa – Oddział Ochrony Zabytków

fort 44 leży na północno-zachodnim załamaniu pierścienia twierdzy. Rosjanie nadchodzą od wschodu.

ANATOMIA ZWIERZĘCIA

Dwustu dwudziestu czterech szeregowców i podoficerów piechoty, którzy pod dowództwem dwóch oficerów idą w stronę fortu Tonie, należą do Landsturmu, czyli pospolitego ruszenia. To prości, niewykształceni ludzie, najczęściej ze wsi. On też taki jest. Ci, którzy służą w fortach, są także dojrzali wiekiem. Nie nadają się już do tego, czym najczęściej zajmuje się piechota liniowa, czyli do całodniowych, trzydziestokilometrowych marszów (a tym bardziej do marszów forsownych, kiedy przez dwa dni trzeba pokonać 140 km). On też ma już czterdziestkę na karku i te dziewięć kilometrów, które dzielą go od Toń, w zupełności mu wystarcza.

Powiedzmy, że będzie mu Jan. (Choć mogłoby mu równie dobrze być Blażej, Bohumil albo Jarmil – prawie połowa piechoty w krakowskiej twierdzy to Czesi.) Z początku fort był dla niego czymś zupełnie nie z tej ziemi. Ciemne, pozbawione

okien, odlane w betonie korytarze, otulone grubym, tłumiącym dźwięki nasypem sprawiały, że czuł się tu, jakby zstąpił do jakiegoś tajemniczego, podziemnego labiryntu, pełnego fascynującej maszyneryi. Albo do mokrego, zimnego brzucha zwierzęcia.

Fort jest bowiem jak zwierzę. Tu ma szyję; tędy się do niego wchodzi, to jego najsłabsza, tylna część. Tu jest też blok koszar – mieszkają w nim żołnierze i, osobno, oficerowie. Tu Jan ma łóżko – śpi w nim na zmianę z dwoma innymi żołnierzami. Jest kuchnia, studnia, izba łączności oraz – tuż obok – kazamata komendanta. Jest areszt, a na skrzydłach – latryny. W głównym schronie trzyma się amunicję. Dalej zwierzę ma barki i czoła. Tonie to bestia dwugłowa, ma dwa czoła. Na wale, barkach i czołach tkwią działa. Do nich tulą się stanowiska piechoty. Dwadzieścia dział (czterech kalibrów i pięciu różnych wzorów) obsługują ci młodzi, z artylerii. Czoło fortu robi monstrualne wrażenie: dziesiątki otworów – każdy oznacza jednego strzelca. Pośrodku wyciąga się obudowana betonem poterna – korytarz do schronu obserwacyjnego, na jego końcu znajduje się pancerna kopuła. Na barkach fortu dwie betonowo-kamienne bryły baterii pancernych z grzybami wysuwalno-obrotowych wież artyleryjskich i obłymi czaszami wież obserwacyjnych. Andrzej drży z emocji, gdy pierwszy raz wchodzi do ciasnej pachnącej smarem, najeżonej mechanizmami kapsuły. Wie, że wystarczy lekki ruch korby, a potwór wysunie się spod ziemi.

Teraz Jan zna już tego potwora. Zna numery drzwi i ciemne korytarze, na pamięć. Ćwiczenia i alarmy próbne sprawiły, że jest gotów na przyjście wroga. Może nawet cieszy się, że tu jest. Może oswoił sobie to wielkie zwierzę o pełnych żelastwa, betonowych trzewiach. Może dumny jest z niego: że ściany ma takie grube, pancerze takie twarde, działa takie zmyślne. – Mój – myśli sobie o forcie, choć nie myśli „fort” – mój werk.

Jan żyje w nim na trzy zmiany. Na jednej śpi. Na drugiej odpoczywa, je i stoi w kolejce do wychodka (na 16 żołnierzy przypada jedno oczko) albo rżnie w karty z kolegami. Na trzeciej siedzi z karabinem w dłoni na ławeczce w schronie nieopodal swojego stanowiska. Czeki. Wie, że jest tu po to, żeby tego cennego werku bronić. Wie też, że jeśli Rosjanie rzeczywiście tu dojdą (a idą, wiedzą przecież, że idą), będzie to wyglądało tak: on będzie siedział na tej ławeczce, a schron będzie trząsł się od ostrzału nieprzyjacielskich armat. Pod ich osłoną – i pod ostrzałem z fortu – przez wiele dni wroga piechota kopać będzie zygzakowate aprosze i zbliżać się, zbliżać

metr po metrze, docierając do fosy, przekraczając ją, wgryzając się w wały, aż wreszcie nadejdzie moment, kiedy ruszy do szturm, Jan zaś będzie miał wówczas zaledwie kilka minut, by wybiec ze schronu, zająć swoją pozycję i odeprzeć atak...

Jeszcze nie zna skutków ostrzału ciężkiej artylerii. Nie wie, co to szaleństwo, panika i ślepy zwierzęcy strach, który każe uciekać z rozrywanego pociskami fortu – na oślep, choćby pod kule wroga. Może tego dnia, kiedy w listopadowej słocie maszeruje ku Toniom, zastanawia się, czy to zacznie się już dziś. Może ma nadzieję, że Tonie to dobry werk, mocny, nie do ruszenia, a poza tym – leży zbyt daleko na zachód?

NIEWIDZIALNY MOLOCH

Czasem widać jakiś kopiec. Pagór. Kępę drzew. Twierdzy nie widać. Jest niewidzialna. To moloch zaczajony pod warstwą ziemi, przykryty płaszczem opadłych listopadowych liści. Ukryty. Maskuje go wiele kilometrów kwadratowych celowo zaprojektowanej i zagospodarowanej zieleni. Jego poszczególne członki dzielą od siebie setki metrów. Miejsca wyznaczają im osie i linie symetrii, dostrzegalne dopiero na mapach.

W czasie pokoju moloch śpi. Forty są puste, zamknięte na cztery spusty. Budzą się w obliczu wojny. Specjalnie zaprojektowanymi drogami ciągną wówczas ku nim załogi – młoda artyleria i trochę starsza, równie szaro odziana piechota.

Do Toń maszerują Andrzej i Jan. Może cieszą się, że idą właśnie tam? Może lubią ten fort. Może Andrzej (zdał przecież maturę) dostrzega dyskretne piękno tej ukrytej przed cywilnym okiem, tajemnej budowli. Czy w delikatnym zdobieniu portalu rozpoznaje echa modnego właśnie historyzmu? Może zaokrąglone krawędzie ścian i finezyjne kształty kopuł pancernych kojarzą mu się z miękkimi liniami secesji? Może wiele, wiele lat później widok dzieł Le Corbusiera przypomni mu niepokojącą, niesymetryczną bryłę fortu 44, tę niemal „rzeźbę w betonie”?

Może jest dumny, że służy właśnie w forcie 44, gdzie Monarchia Austro-Węgierska umieściła cztery z dziesięciu posiadanych najnowocześniejszych naówczas pancernych wież wysuwalno-obrotowych? Może Andrzej, jako wyszkolony artylerzysta, będzie je nawet obsługiwał?

Tonie przechodzą kompleksową modernizację w latach 1902–1909. Ich przebudowa rozpoczyna cały program opancerzania przestarzałych fortów artyleryjskich. Geniedirektorem, czyli dyrektorem inżynierii Twierdzy Kraków, jest wówczas Jaroslav Stipanović. Projekt zleca swoim podwładnym.

Sam decyduje o wyborze Toń, zatwierdza, podpisuje papiery i odpowiada za wszystko przed zwierzchnikami w Wiedniu.

Ściany fortu oblewa się dodatkową warstwą betonu. W najgrubszym miejscu mierzą teraz dwa i pół metra. Nowo powstałe budynki fortu dostają warstwowe stropy stalobetonowe. Konstrukcje stalowe przyjeżdżają aż z Cieszyna i Witkowiec. Zlecenie na odlanie pancerzy dostają zakłady Emila Škody w Pilźnie.

Oni wykonują cztery pancerne wieże wysuwalno-obrotowe. Na początku XX stulecia nie istnieje w sztuce fortyfikacji

Austriacki sprzęt wojskowy w Wieliczce,
haubica 30,5 cm Škoda model z 1911 r. W tle
wieża ciśnieniowa, 1915, NAC



nic bardziej nowoczesnego. Kosztują majątek. Za jedną trzeba zapłacić 86 500 koron. Dwie takie wieże to równowartość dużej kamienicy z oficynami i wodociągiem. Seria, z której pochodzą, liczy jedynie dziesięć sztuk. Cztery egzemplarze trafiają do fortu Tonie, sześć zostanie zniszczonych wraz z Twierdzą Przemyśl.

Taka wieża nazywa się Senkpanzer M2. Może przecze-kać ostrzał wroga, ukryta pod osiemnastocentymetrowym pancierzem, obrócić się w ukryciu, po czym wysunąć i pluć ogniem z działa o kalibrze 8 cm. Do tego dochodzą cztery pancerne kopuły, dwie obrotowe i dwie stałe, wykonane ze stali stopowej, służą do kierowania ogniem artylerii fortecznej.

Modernizacja Toń nie jest jeszcze zakończona, lecz już wiadomo, że szacunkowo będzie kosztować ponad milion koron (ostatecznie koszty sięgną dwóch milionów). To za dużo dla austro-węgierskiego budżetu. Centrala nakazuje Stipanovićowi przerwać eksperyment. Powinien zabezpieczyć budowę i czekać na rozkazy. Nie robi tego jednak. Choć przełożeni odcinają dopływ funduszy, chce doprowadzić sprawę do koń-

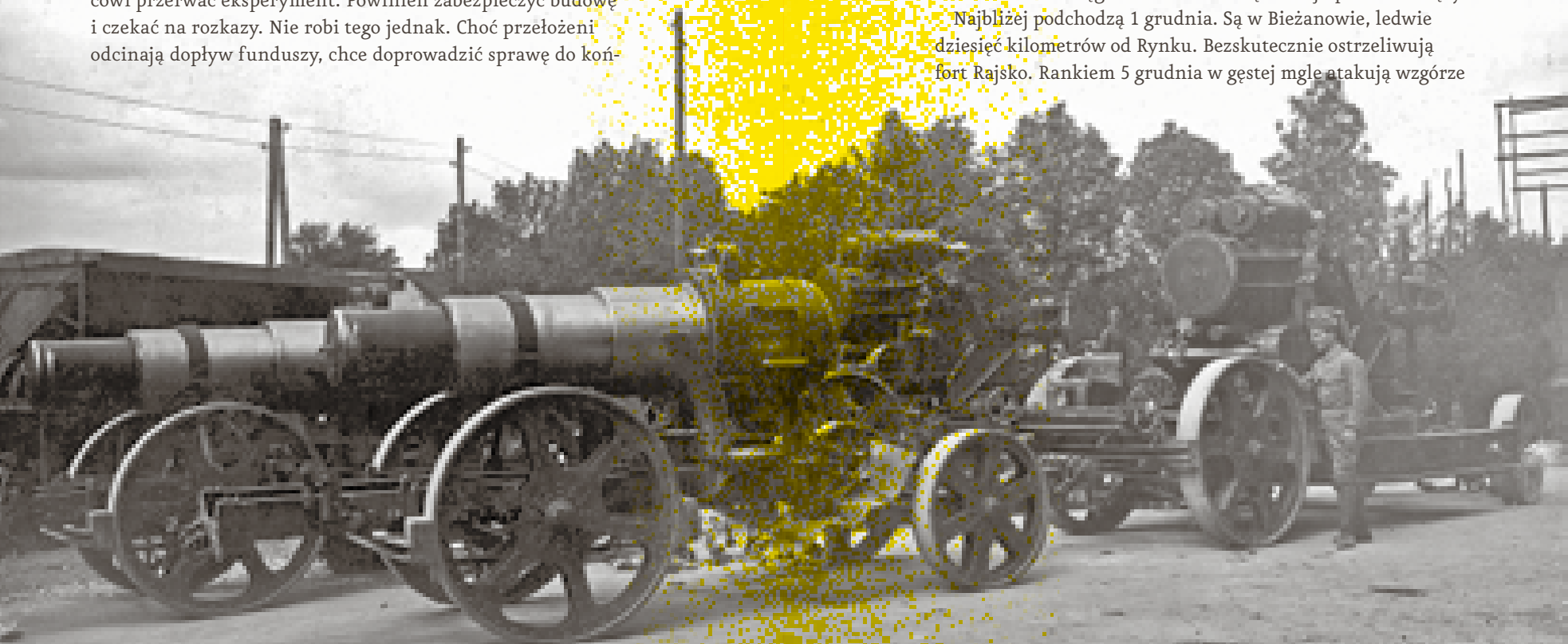
ca. Przebudowa się wlece – lecz w 1909 roku jej główne fazy można uznać za zakończone. Jest ostatnią tak dużą inwestycją w krakowską twierdzę. Sprawia, że przez pewien czas Festung Krakau jest najnowocześniejszą i najtrwalszą fortecą Europy. Przez chwilę wydaje się, że nie ma nic, co mogłoby przebić się przez jej pancierz.

Nie na długo. Działa, które są w stanie zniszczyć fort Tonie, powstają już w 1910 roku. W 1914 roku, kiedy Rosjanie prą na Kraków, twierdza wymaga modernizacji.

BITWA

W listopadzie 1914 roku rosyjskie oddziały, które zbliżają się do Krakowa, nie mają z sobą dział mogących zagrozić fortowi 44. Nie ciągną z sobą niczego, co mogłoby stanowić zagrożenie dla stalowych panczerzy i betonowych murów twierdzy. Liczą na to, że armia austro-węgierska zamknie się w niej i pozwoli okrążyć.

Najbliżej podchodzą 1 grudnia. Są w Biezanowie, ledwie dziesięć kilometrów od Rynku. Bezsukutecznie ostrzeliwują fort Rajsko. Rankiem 5 grudnia w gęstej mgle atakują wzgórze



Transport austriackiego sprzętu wojskowego z Borysławia do Wieliczki, 1915, NAC

Kaim. Walki trwają. W twierdzy panuje gorączkowy ruch – na zagrożone południe ściąga się działa z całej twierdzy. Ogromne motorowe ciągniki Mammuth, za które Ferdynand Porsche otrzymuje doktorat honoris causa na Uniwersytecie Wiedeńskim (z filozofii, jako że uniwersytet nie prowadzi studiów technicznych), przewożą najcięższe moździerz Skoda 30,5 cm. Artyleria oddaje ponad 20 tysięcy strzałów. Poprzedzone nimi kontruderzenie odrzuca Rosjan za Wieliczkę.

Już nigdy nie zagrożą miastu. 13 grudnia, kiedy Kraków jest już bezpieczny, amunicji do niektórych typów dział zostaje na zaledwie dwa dni. Budowana od 60 lat twierdza – jako jedna z nielicznych podczas I wojny światowej – spełniła swoje zadanie.

W czasie bitwy o Kraków pancerze fortu Tonie nie przyjęły żadnego uderzenia. Wieże nie wystrzeliły ani razu. Ich czas miał dopiero nadejść. Podczas II wojny światowej fort 44 będzie osłaniał odwrót Armii Kraków. Działa z Tonie ostrzelają wówczas (a według niektórych nawet zniszczą) dwa hitlerowskie pojazdy pancerne.

Potem fort zajmą Niemcy. W latach 40. ich saperzy zaczną odstrzeliwać pancerne tarcze i wieże. Ponoć ćwiczą w ten sposób przed szturmem na Sewastopol. Fort jednak ocaleje. W 1957 roku stanie się alarmowym magazynem amunicji na wypadek wojny. To uratuje go przed całkowitym zniszczeniem, ale nie uchroni przed dewastacją wielu cennych elementów. W latach 70. ludowe wojsko przebiję ściany w starych koszarach, w miejscu pancernych okien zrobi bramy garażowe. Deszcz będzie żłobić beton, podtapiać podstawy pancernych wież, a rdza niszczyć pancerze.

Kiedy wreszcie – w 2008 roku – Tonie trafią pod opiekę Fundacji Aktywnej Ochrony Zabytków Techniki i Dziedzictwa Kulturowego Janus, skala niezbędnych prac konserwatorskich będzie wręcz niewyobrażalna.

Prace będą postępować powoli. Sukcesywnie. W miarę sił i środków. Nikt nie wytnie tu niepotrzebnie drzew, a zwierzęta, które opanowały opuszczony i zapomniany do niedawna fort, będą mogły spać spokojnie. Tak, żeby w przyszłości rozwijające się tu muzeum mogło nazywać się „Otwarta Twierdza”, a zwiedzający mogli odkryć i zrozumieć to, co w listopadzie 1914 roku na widok fortu nr 44 Tonie być może poczuł jakiś młody, dobrze wykształcony artylerzysta lub zwykły szeregowiec piechoty.

Że to dobre miejsce. I że tkwi tu ukryte, sekretne piękno.



WYBRANA BIBLIOGRAFIA

(Pełna bibliografia dostępna na www.dnidziedzictwa.pl)

Opracowania ogólne (wykorzystane w więcej niż jednym tekście)

Bieniarzówna J., Małecki J.M., *Dzieje Krakowa*, t. 3: Kraków w latach 1796–1918, Kraków 1979.

Molnár F., *Galicja 1914–1915. Zapiski korespondenta wojennego*, Warszawa 2012.

„Najlepszy Przyjaciel Żołnierza. Kalendarz na rok 1915”, Wimperk (Winterberg, Czechy).

Panorama przed, w trakcie i po burzy

Diariusz dni grozy w Gorlicach. Na podstawie pamiętników: Jana Benisza, Jana Budackiego, Stanisława Feliksa Grąglowskiego, Władysława Kijowskiego, Jana Sikorskiego, ks. Bronisława Świeykowski, wybór A. Ćmiech, Gorlice 2010.

Grąglowski S.F., Pamiętnik z inwazji rosyjskiej w Gorlicach w latach 1914–1915, maszynopis ze zbiorów Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach.

Kromkayowa M., Dziennik wydarzeń wojennych w Bieczu 1914–1915, maszynopis ze zbiorów Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach.

Latinik F.K., *Żołnierz polski pod Gorlicami. Działalność 100. Pułku Ziemi Cieszyńskiej*, Przemyśl 1923.

„Miasta Polskie” 1935, J. Barut, Światła i cienie odbudowy Gorlic (dodatek ilustrowany), 1935.

Skok nadludzki i zimna pokrywka

Pabis T., *Władysław Długosz*, Tuchów 2003.

<http://www.sekowa.info/index.php?go=17&id1=19&ido=180>

<http://www.sekowa.info/index.php?go=17&id1=19&ido=121>

Zachariasz A., Założenie parkowo-pałacowe w Siarach, „Teka Komisji Urbanistyki i Architektury” 1989–1990, t. XXIII.

Portret przedśmiertny

Przeistoczenie

Broch R., Hauptmann H., *Zachodniogalicyskie groby bohaterów z lat wojny światowej 1914–1915*, Tarnów 1993.

Kroh A., *O Szwejku i o nas*, Warszawa 2002.

Łopata M., *Groby żydowskich żołnierzy na cmentarzach I wojny światowej w Beskidzie Niskim, „Magury”* 2003.

Pałosz J., *Śmiercią złączeni. O cmentarzach z I wojny światowej na terenach Królestwa Polskiego administrowanych przez Austro-Węgry*, Kraków 2012.

Partridge A., *Działalność Heinricha Karla Scholza w Kriegsgreabe-rabteilung Krakau w latach 1916–1918 w świetle jego twórczości rzeźbiarskiej*, w: *Materiały z międzynarodowej konferencji Znaki Pamięci III – śladami I wojny światowej*, Gorlice 24.10.2009 r., red. M. Łopata, Gorlice 2010.

Partridge A., *Otwórzcie bramy pamięci. Cmentarze wojenne z lat 1914–1918 w Małopolsce*, fot. R. Korzeniowski, Kraków 2005. www.rainerregiment.at

Dzieci nowej ery (i ich zabawki)

Rzepecki T., *Historia tarnowskich wodociągów i kanalizacji od drugiej połowy XV wieku do 2010 (w stulecie powstania nowoczesnego wodociągu)*, Tarnów 2010.

Szewczyk F., *Tarnów podczas inwazji rosyjskiej od 10 listopada 1914 r. do 5 maja 1915 r.*, Tarnów 1932.

Album wojenno-rodzinny

Brzesko – Okocim. Lotnicza baza Najjaśniejszego Pana, red. R. Panek, K. Wielgus, Dębica 2000.

Grzęda M., *Architektura Pałacu Goetzów-Okocimskich w Brzesku-Okocimiu*, praca magisterska pod kierunkiem prof. dr. hab. Wojciecha Bałusa, Instytut Historii Sztuki, Wydział Historyczny UJ, Kraków 2009 (egz. w posiadaniu autora).
Luchter-Krupińska L., *Ród Goetzów-Okocimskich*, Brzesko 1998.
Włodek J.M., *Goetz-Okocimscy. Kronika rodzinna 1590–2000*, Kraków 2001.

Szeroki widnokrąg

Bąk-Koczarska C., *Juliusz Leo – twórca Wielkiego Krakowa*, Wrocław 1986.

Kęder I., Komorowski W., *Ikonografia placu Wszystkich Świętych oraz ulic Franciszkańskiej, Poselskiej, Senackiej i Kanoniczej w Krakowie*, Kraków 2007.

Kraków w czasie I wojny światowej. *Materiały z sesji naukowej z okazji Dni Krakowa w roku 1988*, red. J.M. Małecki, Kraków 1990.

Siedziby władz miasta Krakowa, „Krakowska Teka Konserwatorska” 2007, t. VI.

Wiśniewski M., *Ludwik Wojtyczko. Krakowski architekt i konserwator zabytków pierwszej połowy XX wieku*, Kraków 2003.

Momenty

Bałus W., *Historyzm, analogiczność, malowniczość. Rozważania o centralnych kategoriach twórczości Teodora Talowskiego (1857–1910)*, „Folia Historiae Artium” 1988, t. XXIV.

Beiersdorf Z., *Architekt Teodor M. Talowski. Charakterystyka twórczości*, w: *Sztuka 2. połowy XIX wieku*, red. W. Bałus, Warszawa 1973.

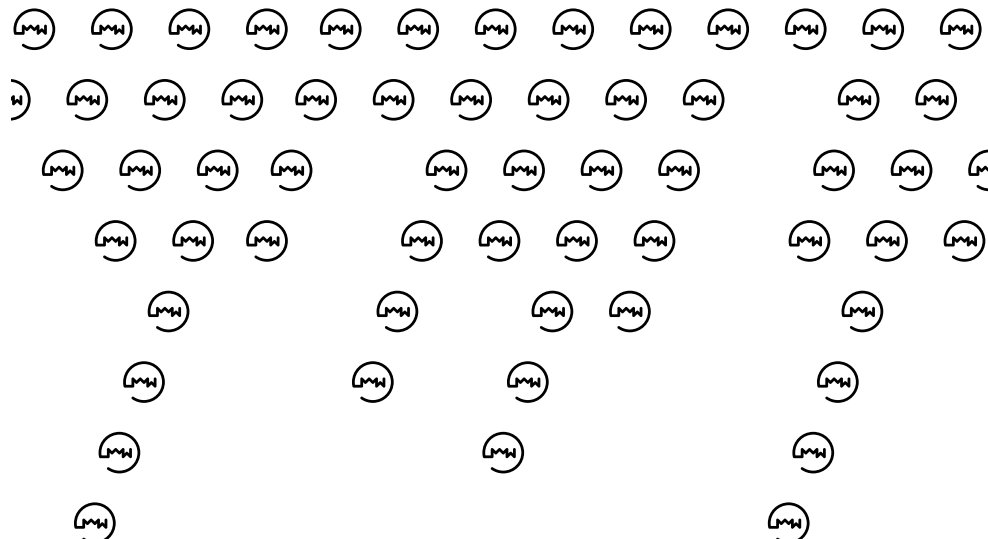
Daniel J., Osiecki J., *Legenda* 1914, Kielce 1989.
 Majewska T., *Pamiętnik*, 1882, rękopis (z arch. rodziny).
 „Naddłubniańskie Pejzaże. Kwartalnik Społeczno-Kulturalny”, zwłaszcza numery: 2004/3, 2006/2(10)–3(11), 2006/4(12), 2007/1–4(13–16), 2009/1(21), 2012/4(32).

Widok z wnętrza

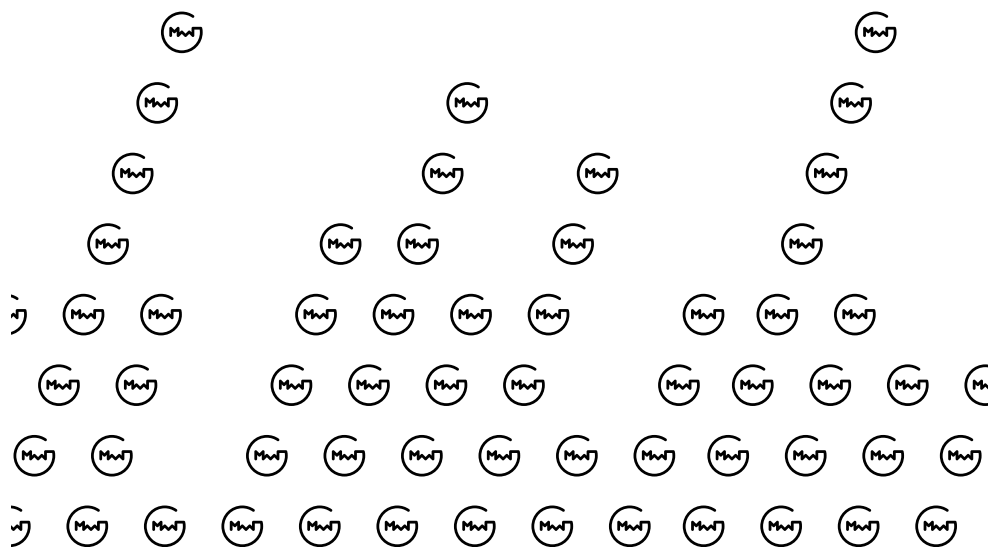
Beiersdorf Z., *Kasyno Oficerskie w Krakowie*, w: *Sztuka Krakowa i Galicji w wieku XIX*, red. W. Bałus, Kraków 1991.
 „Czas” 20 listopada 1890, nr 267.
 Kusiak F., *Życie codzienne oficerów Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1992.
 Milanowska A., *Sinobrody z Wiednia. Marionetki Georga Trakla*, „Dekada Literacka” 1992, nr 37.
 Moś W., *Dyskretny urok kasyna*, Bytom 2003.

Wojenna koronka

Brzoskwina W., *Atlas Twierdzy Kraków*, seria I, t. 16: Fort 44 „Tonie”, Kraków 2003.
 Brzoskwina W., *Atlas panczerzy Twierdzy Kraków*, cz. I: Główne wyposażenie pancerne fortów Twierdzy Kraków, *Atlas Twierdzy Kraków*, seria II, t. 3, Kraków 2003.
 Łukasik H., Turowicz A., *Twierdza Kraków znana i nieznana*, cz. I: Odcinek północno-wschodni. Od Wisły do traktu olkuskiego, *Międzyzdroje–Kraków* 2001.
 Łukasik H., Turowicz A., *Twierdza Kraków znana i nieznana*, cz. III: Żelazny pierścień, *Międzyzdroje–Kraków* 2002.
 Łukasik H., Turowicz A., *Twierdza Kraków znana i nieznana*, cz. IV: Wokół krakowskiej twierdzy. Epizody, bohaterowie, ślady bitwy o Kraków, *Międzyzdroje–Kraków* 2009.



WWW.MUZEAMALOPOLSKA.PL



**MAŁOPOLSKA
TO GO**

MalopolskaToGo.pl